







610860

**RUDOLF  
CZEKANOWSKI,**

CZYLI

**DWIE TATARKI.**

POWIEŚĆ Z POZATKU OŚMNASTEGO WIEKU. 1

NAPISAL

L. Bohdanowicz.

---

---

**TOM III.**

---

---

**WARSZAWA,**

**W Drukarni S. Litkei,**

ALICA BIELAŃSKA, W DOMU G. SEANIEWICZ, N. 595.

**1845.**

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie d. 8 (20) Maja 1845 r.

**Cenzor, Niezabitowski.**



1319248

# I.

## WIEŚ.

**P**óźno już było, gdy przybyła do litewskiej stolicy. — Na usilną tylko prośbę wpuszczono ją przez Rudnicką bramę, a skoro takową przejechała, natychmiast rozkazała skierować powóz do klasztoru panien miłosiernych.

Ale tu nie była tak szczęśliwą. Klasztor napelniony był tak dalece choremi, że przełożona odmówiła przyjęcia podróźnej, która nie mogąc się u furty dokładnie dowiedzieć o ciotkę,

riżbietę, która opuszczając świat inne imię przybrała, zmuszoną była stanąć w jednym z domów przy Niemieckiej ulicy.

Tu dopiero Karolina mogła swobodniej pomyśleć; w tej chwili zdolności i pomoc Rudolfa najbardziej były jej potrzebnymi. Ona przewidywała, trwożyła się, widziała szczupłą część jaką jej pozostać mogła, z przyczyny powiększenia się rodziny; a przestach jej zbliżał się do rozpacz, na myśl, że i stryj także może upomni się kiedyś o swoje. Zdawało się jej, iż jest wyzuta z wszystkiego i że pracą rąk zarabiać musi na swoje utrzymanie; o! ona to za tak wielką uważała hańbę, że sama ta myśl wprowadzała ją w gorączkowy stan, w którym noc całą przetrwała.

Zaledwie pierwszy brzęk szpitalnego usłyszała dzwonka, jak najspie-

szniej udała się do klasztoru. W kaplicy, gdzie msza odprawiała się, zbliżyła się do jednej z zakonnic i tę wypytywała się o Elżbietę, ale jakże zdziwioną została odpowiedzią pytaną, gdy ta o zniknięciu od kilku dni tejże opowiedziała.

Ostatnia nadzieja zyskania dobrej rady znikła. Karolina nie traciła czasu, i jeszcze przed południem powróciła do Trok. Wieczorem miano pogrzebać zwłoki Gabrijela; mnóstwo ludu otaczało jego pomieszkание, lecz Tatarzy, stojący po kilku na rynku, wcale nie odwiedzali zmarłego, dowiedziawszy się o wyznawanej przez niego religji.

Może poufne rozmowy Tatarów podobne były do tej, jaką słyszeliśmy pomiędzy Beni-Ana i Jussufem, ale nie śmieli oni otwarcie wyznać przed samemi sobą swoich myśli, i rzucali tylko

wzrokiem żalu serdecznego na otwarte, czarnemi oponami zastłonięte okna domu swego brata, którego, pomimo że z zasad Koranu powinni byli za odszczepieństwo nienawidzić, przecież nie mogli zaprzeczyć, że dotąd jeszcze kochali.

Kopiec, sypany życzliwemi dłońmi, wznosił się nad grobem Gabrijela, kiedy w tymże czasie w Wilnie, po Zamkowej ulicy, przemknęło się trzech zbrojnych ludzi, dążących następnie Dominikańską ku Trockiej bramie. Odziani w pospolite szaty, nie zwracali najmniejszej na siebie uwagi, tém więcej, że szli pojedynczo, chociaż jeden drugiego śledził okiem, gotowym będąc natychmiast dać pomoc, gdyby takowej którykolwiek z nich potrzebował.

Ludzie ci, bez przypadku opuścili miasto, połączyli się i wolno szli, roz-

mawiając o ostatniej ułarcze, jaka zaszła w okolicach Wilna, ale po za Wilją, w której partyzancki ich oddział, przeważną siłą napadnięty, wiele ucierpiał, i zmuszony został cofnąć się w znane sobie Ponarskie góry. Widzieliśmy trzech ostatnich przechodzących przez Wilno, gdybyśmy z równą hacznością po różnych ulicach za przechodzącymi patrzeli, byłibyśmy więcej członków tegoż oddziału dostrzegli.

— Ja dzisiaj jeszcze, — mówił jeden z nich, — powrócę do miasta; trzeba się dokładnie dowiedzieć o wszystkim, aby w czasie powetować doznałą klęskę.

— Zapewne, jednak nie życzyłbym ci dzisiaj zemsty rozpoczynać.

— Dla czego?

— Późno, a nasi będą więcej strwożeni, gdy ciebie na umówionem

miejscu nie zastaną, aniżeli największem niebezpieczeństwem. I nie zechcą nam uwierzyć;—wierz mi, pozostañ tę noc w polu; a niechże jeszcze nieprzyjaciół nas wyśledzi i uderzy, wówczas, jakież skutki nastąpią? Gotowi rzucić broń! Ty jeden jesteś duchem nas wszystkich, a nawet ty jeden byłeś tak silnym, żeś mnie poprawił.

Strzelec uśmiechnął się.

—Tak do ciebie przywiązałem się, że nie pojmuję możliwości rozdzielenia się, i teraz dopiero powiedzieć mogę, że może istnieć miłość, ale tylko pomiędzy mężczyznami, bo w miłość niewiast w żaden sposób uwierzyć nie mogę.

—Boś nie kochał.

—Prawda, i być może, że nie był także kochany; lecz gdyby największa kobieta czyniła dla mnie ofiary,

jeszczebym sądził, że w swoim tylko interesie, konieczność działać ję tak nakazuje.

— Nie zupełnie poprawiony.

— Czy i tę wątpliwość grzechem poczytujesz?

— Nie inaczej.

— A, chciałbym przekonania, ale któraż mnie teraz pokocha, już przeszło czterdzieści mam lat, a skóra z twarzy zdałaby się na podeszwę. Podobnoć trzeba myśleć o wiecznym domu.

— Zkądże to? a zapomniałeś o naszych zamiarach. Chata nad brzegiem jeziora, zacieniona zaroślami, czółno i sieć, strzelba i pies; czyliż nie wabi ciebie podobne ustronie, zupełną spokojność zapewniające?

— O mój drogi! to są marzenia; kto je w rzeczywistość zamienić zdoła?

— Bóg, i silna a dobra wola.

— Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, mielibyśmy własny ogródek... lecz patrz... to już nasze wedety.

Pomiędzy dwoma wzgórzami, okrytemi zaroślami, błyszczało dwoje ocz, rzekłbyś, że wilezych, a jednak strzelec to tylko zagłębia swój wzrok w okolicę, i śledzi, żali wróg nie idzie, i nie trzebali ziarna ołowiu zasiał w jego piersiach. — A kiedy rzeknie, że *tań*, bywaj zdrów, po wystrzale, skop dołek i zmów Anioł pański.

\*

Jeszcze jedna osoba wyszła dnia tego z Wilna. Krok lekki i pewny, zwiastuje, że dłużej nie odbyła podróży. Jest to mężczyzna w średnim wieku, skromnie, czysto ubrany, brunet, twarz oświecona księżycem, okazuje człowieka namiętnego a nawet gwałtownego. Człowiek ten nie doszedł pasma Ponarskich gór, ale

zboczył na lewo, i przeszedłszy przez zamarzlą strugę, zakolał do chatki.

— Otwórzcie, zmarzłemu, na Boga, otwórzcie!

Drzwi uchyliły się, proszący zyskał przylulek.

Oddział biwuakujący w Ponarskich górach rozstawił czaty, nie palił ognia, nie kopał fajek, tylko w śniegu brodził, i niekiedy nadstawiał ucha, jak gdyby oczekiwał kogo.

Okolo północy ruszył ku Trokom.

\*

Na dwa tygodnie przed tem, dzień był pochmurny, wiatr północny dał przeraźliwie, prawie ciemno, tak chmury nisko zawisły nad ziemią. Wrona kracząc przelata po nad dachami, kruk w polu szarpie ciało zwierzęcia, skacze po obnażonych z mięsa żebrach, i potrząsając dziobem w krwi zbro-

czonym, rozrzuca jej krople na około siebie. Krew zimna, zastygła, umarła, można ją deptać, szarpać i rozbryzgać!! Biada, jeśli w człowieku za życia, jest bez życia, bez uczuć, bez właściwej ludzkości barwy.

Sanie rozłożyste, obszerne, ciągną cztery dzielne konie, woźnica pusił lejce i pogania batożkiem rumaki, — pilno mu — na pańskim (tak zwanem) siedzeniu, leży człowiek, może tylko futro, Bóg wie, bo ani głowy, ani rąk, ani nóg nie widać, jakaś tylko torba futrzana, z pod której niewygląda nawet żelazo, nie wychodzi para.

To oficer szwedzki wiezie ważne depesze; — jest-że w nim życie?

Waka (1) Sanie na wzgórzu. Właśnie zaczynają się spuszczać w dolinę, na której świeże ślady stóp mężczyzn widoczne. — Gwizdnięcie, — powtórzone.

(1) O dwie mile od Wilna.

- Panie! niebezpiecznie!
- Co ty mówisz?
- Gwiżdżą.
- W konie.
- Pan nabite ma pistolety?
- Nabite.
- Lepiej kurki odwieść, konie nie ominą ich...
- Kogo?
- Tych co stoją.
- Kto stoi?
- Zbrojni.

Szwed zbladł, nakrył się futrem, wołając:

— Ruszaj, będą myśleli, że sam jedziesz.

— Dobrze.

Woźnica zaciął konie, a te lotem płaka puściły się.

Dolina.

— Hola! bratku! znamy ciebie, stój!

— Albo kulą!

— Albo i drugą.

Wóznica stanął.

— Wylaż z futra, kawalerze; wylaś-że. A to się obwinał,... czy ci zimno?

Pomimo niechęci wywleczono jadącego z futrem na drogę.

— Oddaj depesze.

— Oto są,... ale moje futro.

— A weź, weź.

— Jedź.

Odjechał! Miał-że ten człowiek uczucia?

Za drugą wyniosłością góry, futro spadło z jadącego, nastąpił wystrzał, — wóznica spadł z kozła, konie uniosły, sanie uderzyły o korzeń drzewa i siedzący w nich wyleciał, uderzył głową o drzewo i rozranił się.

— Dobrze; wóznica zabity, konie będą ujęte, rana podobna zupełnie do cięcia tępem narzędziem, — mó-

wił do siebie Szwed, po chwili podnosząc się z ziemi, — łatwo ich oszukać.

Ten człowiek odniósłby sto ran, przyjąłby obelgi, katusze, piętnowanie, byle mu życie zostawiono; — czy on należy do rzędu ludzi?

Jak wyrzekł, tak i zrobił. Powrócił do Wilna, wypadek, jak zamierzył, opowiedział, a dla wyleczenia rany, odesłano go do szpitala panien miłosierdzia.

Rana lekka, zakonnica przystojna, chory zmyślonemi potrzebami zatrzymuje ją przy sobie, a cierpliwa dziewczyna z powolnością słucha jego rozmów. Bo rozmowy nie przekroczyły jeszcze granic przyzwoitości; — druga zakonnica nadstawia ucha: dosłyszała, Troki, Wilczyński, Buczys.

Skoro młoda odeszła od chorego, wypytała się jej dokładnie; — potem

opuściła klasztor, znalazła przytułek w mieszczańskim domu przy Rudnickiej ulicy, sypała pieniądze i dowiedziała się o wszystkim. — Była to Elżbieta; — człowiek, który w czternaście dni później, nie doszedłszy Ponarskich gór, zziębnięty, zakolatał do drzwi ubogiej chaty, była-to także Elżbieta.

Trzeba się nam dowiedzieć, z jakich powodów opuściła ona klasztor, i jaki cel mieli napadający na szwedzkiego kurjera.

Przypominacie sobie zapewne, że jeniec wzięty razem z Darwerdem, z polecenia starosty uwolnionym został, a jeżeli nie domyśliliście się, to wam powiem, iż był to ten sam młody człowiek, rozmowę którego Rudolf w warszawskim Sto-krzyżkim kościele wysłuchał, i z niej dowiedział się, gdzie znajduje się Darwerd, który na-

stępnie przypadkiem popadłszy w ręce Kirlika, tak traiczny skon znalazł.

Przy zapoznaniu się Tytusa, takie mu bowiem na chrzcie nadano imię, Darwerd nie pytał go, z kąd jest rodem, i w jakich stosunkach rodzinnych zostaje. — Obadwaj znaleźli się w Wilnie, bez grosza, na słomie, w jednej z przedmieściowych stolicy tej szynkowni; obadwaj porozumieli się, zaprzysięgli sobie wzajemną pomoc, opuścili Wilno, złupili podróżnego szlachcica, i z odebranemi od niego pieniędzmi przybyli do Warszawy; tu zaciągnęli się do szwedzkiego wojska, a jako szlachta, nie próżne worki mająca, wielomówna, kłaniająca się i wycierająca przedśionki pułkowników Karola, wkrótce zyskali oficerskie stopnie.

Pewnego dnia, wysłani oni zostali z oddziałem, pod bezpośrednie ich do-

wództwo oddanym, z poleceniem przedarcia się do Litwy, i doręczenia rozkazów korpusowi tamże działającemu.

Miejszem ich ukrycia miała być Lida. O tém to właśnie Rudolf dowiedział się w Sto-krzyzkim kościele, i dla tego Troczanie z Tatarami do Lidy pochód swój skierowali; ale zwierz uszedł i tropu za sobą nie zostawił.

Rozkazy zostały wręczone pod Grodnem, z rana, dnia 26 stycznia, to jest, w dzień stoczonej bitwy.

Wieczorem dnia tego Darwerd z Tytusem wybrali się na objazd, a przejeżdżając koło leśnej chaty, wstąpili dla ogrzania się, — tam znaleźli starostę. Wiemy co aż do śmierci Darwerda zaszło. Tytus uwolniony dobiegł do przednich szwedzkich straż, dostał konia, i śledził dokąd uda się starosta. Skutkiem jego działania,

po opuszczeniu przez Kirlika Lidy, Szwedzi ją zajęli i trzech naszych przyjaciół w moc swoją dostali.

To było powodem, że starosta ani Rudolf żadnej następnie nie dali o sobie wiadomości.

W kilka dni po opuszczeniu Trok, Kirlik przybył także do Lidy. Jeden z mieszczan opowiedział mu o wszystkim i wskazał miejsce, gdzie Buczys z oddziałem swoim znajdował się. Liczba towarzyszy Buczysa nie przenosiła czterdziestu, i była niedostateczną do wydostania z niewoli siłą starosty.

Wilczyński, Rudolf i Szczepan, obwinieni byli o zbrodnią stanu, a akt ich oskarżenia posłano Stanisławowi Leszczyńskiemu. Pan Tytus chciał pomścić się za swego przyjaciela, Darwerda, i życzył widzieć wspaniałomyślnego starostę na rusztowaniu.

Z aktem oskarżenia pojechał sam oskarżyciel. Kurpiki biegali po Podlasiu, Szwed pojedynczy nie mógł się tam pokazać. Tytus przez Wilno do Połagi, z Połagi do Gdańska, a ztąd dopiero do Warszawy przybył. Stanisław nie był skory do wydania wyroku śmierci, i dopiero Tytus, po upływie blisko roku, wracał tą samą drogą, a za nim trop w trop — Kirlik!!

W górach za Wilnem, w lasach ku Mejszagole i Szyrwintom, gości Buczys. Nie umie wytłomaczyć sobie tak opóźnionego powrotu Kirlika, drży o los starosty, ale, prawie co dwa tygodnie, odbiera od nieumiejącego pisać Kirlika umówione znaki na kiju wyrżnięte:

XXX, to znaczy jeszcze w Warszawie.

XX, w Gdańsku.

X, wylądował w Połędzie.

IX, to miało znaczyć Wilkomierz, i wtenczas Buczys miał pilnie strzedz Boufałowskich gór (1).

Kirlik miał pieniądze i dla tego nie brakło posłańców, którzy oryginalne te listy, składali u furtjana kościoła S. Rafała, na Snipiszkach.

Ostatniego heroglifu nie odebrał Buczys; Kirlik sam przybył w miejsce jego, i przy furcie oczekiwał dosyć długo, za nim codzienny posłaniec Buczysa nadszedł. Z nim ruszył natychmiast drogą ku góróm wiodącą, ale spotkawszy Tytusa wjeżdżającego już w przedmieście, kazał posłańcowi uwiadomić Buczysa o stanie rzeczy, a sam tymczasem pośpieszył na trakt Grodzieński. W nieodległej od Waki wiosce, miał znajomych wieśniaków,

(1) Pasma pagorków tego imienia wznoszących się za przedmieściem wileńskim, po za Wilją położonem, Snipiszki zwanem.

którzy wspólnie z nim zasadziwszy się, odebrali Tytusowi depesze.

Kirlik nie wypuściłby go żywcem, ale zaprzysiągł Buczysowi, nieodbierać nikomu życia inaczej jak w boju, a Tytus, jak wiemy, nie bronił się wcale.

Współtowarzysz Darwerda, po zabiciu woźnicy, powrócił do Wilna. Wiedzano dobrze, że nikt inny nad Buczysa lub jego podwładnych, nie napadłby na kurjera, lecz wiedzano i o tem także, że szukać ich w miejscu dokonanego czynu, byłoby na próżno.

Zwlekano i czekano wiadomości, któreby były pewne i mogły stać się wskazówką do wynalezienia miejsca pobytu Buczysa, który z oddziałem swoim przebywał za Wilją, wówczas, gdy Kirlik z kilku pozostałymi przy nim

wieśniakami, niepokoił Wileńskie okolice, w kierunku Grodzieńskiej drogi.

Elżbieta dowiedziawszy się o zamiarach, o jakich Tytus wspominał, starała się przekonać, kiedy wyprawa wysłana będzie. Ona także rozsiewała mylnie o schronieniu Buczysa pogłoski, a gdy wojsko przeznaczone do zniesienia oddziału jego, równo z świtem wyruszyć miało, uprzedzając takowe, opuściła wieczorem miasto, i, jak widzieliśmy, w męzkim stroju, nie mogąc oprzeć się silnemu mrozowi, w chacie schronienia szukała.

W czasie, kiedy Elżbieta tak troskliwie zajmowała się losem kochanka swego, Kirlik także nie próżnował. Prawie dnia każdego był w Wilnie, bacznie przyglądał się czynionym przygotowaniom, i kiedy już nie miał najmniejszej wątpliwości, z odznaczącą go zawsze krwią zimną, prze-

darł się przez całe miasto i zawiadomił o wszystkim Buczysa. Pamiętamy w jaki sposób ten ostatni przeprowadził ludzi swoich przez Wilno, jaką miał rozmowę z Kirlikiem idąc przez Pohulanke, i na koniec, jak zebrany hulec cały ku Trokom się pomknął.

Buczys cofał się w dawną swoją siedzibę. Wątpił, aby mógł z kilkudziesięciu ludźmi utrzymać się w mniej znanych sobie okolicach, wówczas, gdy pewnym był zwycięstwa w stronach, gdzie pamięć jego Marji, odnawiając rany jego duszy, rozpaczliwiej dodawała mu odwagi. Oprócz tego wszyscy wieśniacy byli mu tam przychylni, a nadto, mógł się jeszcze spodziewać, że nieprzyjacieli nie tak skoro o obrotach jego powieźmie wiadomości.

Rano, dnia następnego, kolumna piechoty, do trzechset ludzi wynosić mogąca! posuwała się po Pohulankow-

skiej płaszczyźnie; druga, przeszła most, a postępując drogą pomiędzy górami, wysłała swoich tiraljerów, którzy przeszukiwali Boufałowskie góry i rewidowali każdą chatę w bliskości ich leżącą. Widzimy z tego, że nieprzyjaciół o rozdrobnieniu sił oddziału Buczysa wiedział, i dla tego wojsko swoje w dwa przeciwne sobie punkta wysłał, nie przewidując bynajmniej zmian, jakie dnia poprzedzającego zaszły.

Elżbieta wyszła właśnie z chaty, gdy kolumna szwedzka, nieopodal już była. Widok jej przeraził ją bardzo. Skierowała swe kroki w pole, i śpieszyła jak najprędzej w Ponarskie wąwozy, chcąc koniecznie zawiadomić Ludwika o grożącym mu niebezpieczeństwie, i mając nadzieję, że za to poświęcenie się, raz jeszcze będzie mogła ujrzeć zwłoki Marji.

## II.

### SPRZEDAŻ — WISZK.

**P**o smutnym chrześcijańskim obrzędzie pogrzebania zwłok Sulejmana, Karolina zaprosiła siostry do siebie. Przybyły one z Szafranowiczem.

O treści testamentu wiedziała już Karolina i obawa jej zniknęła. Gabrjel bowiem rozporządzał tylko posiadanym majątkiem, nie roszcząc żadnych i do nikogo pretensji, a nadto, co się najbardziej Karolinie podobalo było, prosił swoje córki, iżby opuściły Tro-

ki, gdzieby mogły ich częste spotykać przykrości z strony Tatarów.

To ostatnie postanowienie ojca, dosyćbyło przykrem dziewczicom; jednakże spełnić je za powinność uważały. Opuścić skromny lecz miły, i w wspomnienia bogaty domek, rzucić miejsce urodzenia, pozbawić się owych okolic, które razem z postępem naszego życia starzejąc się, wiążą nas najsilniejszymi węzły do miejscowości, każdemu bardzo jest przykro; a dziewczę nasze, a nasze dwie Tatarki, miały się wyrzec ojcowskiego grobu, macierzyńskiej mogiły, przyjaznych serc, i wspomnień... miłości. Wszystko zdawało się dla nich być w dali próżnem, jednostajnem, bezcelowem, a nawet ponurem!!

Szafranowicz, jedyny, nieodstępny ich przyjaciel, gotów był także porzucić stare Troki, i towarzyszyć im

wszędzie. Karolina, podstępna Karolina, pozornie chciała je zatrzymać przy sobie, ale ani Ayesza, ani Missalla, nie zgodziły się na to, i po sprzedaży domu z całym gospodarstwem, opuścili Troki, obiecując odwiedzać Karolinę i jej siostry. Prosiły zarazem, aby o nich także nie zapomniano, i niegardzono siedzibą, wprawdzie nie wspaniałą, lecz w najpiękniejszej położoną okolicy.

\*

— Ileżto ślubów, pomimo tak niepokojnych czasów, zawarto dnia dzisiejszego, — mówił Bartłomiej, wstąpiwszy z nieszporu do swej pani.

— Czyliżeś zapomniał, że to karnewał.

— Tak, cieszą się wszyscy... my tylko smutni, pana naszego nie ma.

— Mój Bartłomieju, nikomu nie może być tyle bolesną, ile córce

strata najlepszego ojca,... ale czyliż płacz pomoże. O! jeżeliby łzy wskrzesić mogły zmarłego, moje oko nigdy by nie oschło...

Karolina oddaliła się, a Bartłomiej zszedł z wschodów, potrząsał głową, i myślał:

— Mój Boże, wtenczas to tylko płakać mamy, kiedy przez płacz odzyskać moglibyśmy stratę naszą, a po tej stracie i łzy jednej nie uro- niemy? Nie rozumiem mądrych ludzi, bo przecież pannę każdy za rozumną uważa, oni pewno serca mają w móz- gach!!!

Bartłomiej dosiadł gniadosza i wy- jechał na ulicę. Kilka sanek przem- knęło się, jedno zatrzymały się. Sie- dział w nich Jan, z dopiero co poślubioną siostrą Czywasa. Przepowie- dnia Medy ziściła się.

— A, jak się macie?

— Zdrowo i wesoło. Siadajcie z nami Bartłomieju. Zabawiemy się, bo na wiosnę opuścimy nasze piękne Troki.

— A dla czego?— zapytał Bartłomiej, wiążąc z tyłu sanek swego wierzchowca.

— Dla czego, pytacie,... a nie wiecież, że z moich przyjaciół nie ma już żadnego w Trokach?

— A my,— zagadnął urażony Bartłomiej.

— I coż Bartłomieju, nie możecie twierdzić, iżbyście tu pozostali. Starosty nie ma. To inna rzecz z kobietą, młodą, zalotną, Bóg wie czy dobrą.

-- Nie obmawiaj.

— Nie zmyślam, prawdę mówię, patrzałem własnymi, ot, temi dwoma oczami (tu wskazał na swoje zręcznice), jak w kościele uśmiechała się do niegodziwego człowieka, który

nie mało dni ujął z życia Tatara Gabrijela, a mego przyjaciela Rudolfa na rusztowanie miał zaprowadzić.

— Czy podobna?

— Tak, Bartłomieju, tak... godziż się tak dalece zapominać? i pokładać ufność i nadzieje w tak nie dobrym człowieku.

— Prawda, zupełna prawda, niegodzi się.

Bartłomiej siadł w sanie. Jan gwizdnał i konie ruszyły galopem, aby połączyć się z tymi, którzy naprzód pojechali.

Huczno jakoś w Giwokorskiej karczynie. To wesele. — Państwo młodzi uroczystość wielkiego tego dnia dla siebie, obchodzić chcieli w miejscu, w którym otrzymali od starej przepowiednię.

Za stołem, wpośród starszych, siedziała także Meda. Smutna jej twarz sprzecznie odbijała od wesołością nacechowanych postaci zgromadzonych. Radość tańczącej młodzieży, dziarskie holubce, grzmiące okrzyki i bratnie uściski, nie wywierały żadnego na nią wpływu. Pochyliła głowę i dreszcz zimny przebiegł jej ciało. Chciała się śmiać, a usta drętwiały; oczom nakazywała błyszczeć, a z pod siwych rzęs spływały łzy! Nie pojmowała samej siebie, dziwne jakieś obrazy cisnęły się przed jej oczy, trwożyły duszę i ścisnęły serce.

Z początku usiłowano ją rozerwać, ale później kiedy każdy z przytomnych wychylił parę czarek ojezystego trunku, którym Kowno najbardziej jest sławne, gdy ten trunek, ten miodek, dodał rzezkości starszym, a młodzieży uczucia zapalił, nikt nie zwracał

cał uwagi na Medę, siedzącą w kącie, i przesuającą paciorki.—Jeżeli przypadkiem zbliżył się kto do niej i przemówił słów kilka, lub zażądał wróżby, Meda podnosiła do ust kubek i stawiała go nietknięty na stół, a pytającego pozbywała się kilku nie znaczącemi wyrazami.

Północ przebiła, karczmarz dopalające się świeczki zastąpił nowemi, kilku z goszczących, wsparłszy się o stół, chrapało; skrzypek z ciężkością władał smyczkiem, a jednakże tańczono, bez taktu, bez ładu; każdy, jak mu się podobało, wykręcał się z swoją taiecznicą, i nie zważał wcale na nikogo.

Drzwi uchyliły się. Dwóch ludzi weszło.

— Niech będzie pochwalony.

Nikt nie odpowiedział, tylko w kącie zaszeptała Meda „na wieki.” — Ale

odpowiedzi téj nowo przybyli nie usłyszeli, i dla tego jeden z nich głośniej powtórzył:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki, wieków, Amen! — chórem odpowiedzieli tańczący, i dopiero zwrócili oczy na przybylców.

— Dajcie nam bracia wódki, zimno, całą noc strawiliśmy w polu.

— Pijcie, pijmy, zdrowie państwa młodych.

— Nie,... naprzód Augusta, niech żyje!

— Innego nie pijemy, — dodał towarzysz wznoszącego toast.

— Niech żyje pan nasz miłościwy! — i wszyscy prawie podnieśli szklance lub garneżki.

— A teraz, zgoda;... zdrowie państwa młodych! — zawołał silnym głosem drugi.

Meda podniosła się z za stołu i krzyknęła.

— Zdrowie rodziny Czywasów!

Jeden z przybyłych, ten właśnie który wywoływał toast państwa młodych, cofnął się, wznosił ręce do góry, i dodał:

— I pamięci jej cieniom!

Panna młoda podbiegła ku niemu i rzuciła się w objęcia z radośnym okrzykiem: jedyny mój brat!

Cale zgromadzenie otoczyło ich, a Kirlik, (on to bowiem przybył z Czywasem), który nigdy nie spuszczał wzroku, odwrócił się do ogromnego komina i lisią czapkę zastonił twarz swoją. Nie był to już ów bandyta krwi chciwy; ewanuelja i wpływ Buczysa, uczyniły go człowiekiem.

— Pijmy, pijmy! — wołano ze wszystkich stron.

Paf, . . . paf, . . . paf, . . . paf, . . . paf.

— Czywas, dalej . . . slyszysz, . . .  
wysstrzaly.

— Wysstrzaly? a wiec z usciskow  
kochanej siostry, prosto na plac smierci.  
Znowu kilka slychać wysstrzałow.

— Czywas . . . spieszmy . . . Buczys  
moze zginac.

— Kto, Baczys? bywaj zdrowa sio-  
stro, bracie. — I wybiegl, i jeszcze raz  
z za drzwi wyciagnal pozegnawcza  
reke.

Meda wskoczyla na stol:

— I czegoż w zadumieniu pogra-  
żeni stoicie, — zawolala stara, a głos  
jej pomimo natężenia, był słaby, —  
wydzierają wam brata, a wy nie idzie-  
cie go bronić. Tak za Kiejstutów  
nie bywało! Słyszycie? . . . . Każdy  
strzał rozlewa gorącą krew naszych  
współbraci... a wy obojętni na to . . . a  
więc ja dziewięćdziesięcioletnia kobie-  
ta, wasza stara Meda, którą powiadacie,

że kochacie, poprowadzić was chce  
na pomoc bratu pannie młodej... da-  
lej... chłopcy, idźmy.

Meda wybiegła z karczmy, a za  
nią cały orszak godowy; — ale wszy-  
scy się wstrzymali, bo właśnie  
szwedzkie wojsko wtargnęło w wiej-  
ską ulicę, a opór rolników byłby tylko  
zuchwałym lecz nierozsądnym czy-  
nem.

Meda wróciła do stodoły, wdarła się  
po drabinie na poddasze, zrobiła w  
strzesie dziurę, wylazła na dach i u-  
ważała obroty stron walczących.

Oddział Buczysa czernił się na śnie-  
żystej przestrzeni pod ciemnym lasem,  
i cofał się w kierunku do wiadomej  
nam kaplicy. Przeciwnicy jego z trzech  
stron posuwali się, usiłując go oto-  
czyć. Ten tylko, kto znał dokładnie  
miejscowość, i kto z przytomnością

łączył odwagę, mógł z sześćkroć przewyższającą siłą w tem miejscu potykać się. Z prawej bowiem strony, z kąd najsilniejszy Szwedów posuwał się oddział, miał on, o kilkadziesiąt kroków od lasu, napotkać naturalne przeszkody, których pokonać nie był w stanie. Tu wązka wprawdzie, lecz bystro płynąca i głęboka rzeczka, tak słabym okryta była lodem, że przeprawić się przez nią było niepodobnem, wypadło więc, albo pokład z desek, czyli lepiej, most urządzić, lub też skierować pochód napowrót do wsi, i w tej dopiero przejść na przeciwległy brzeg rzeki. Pierwsze nie łatwe było do uskutecznienia, gdyż materiał potrzebny z wsi tylko mógł być dostarczony, a przez to strzelcy zyskać mogli na czasie, i cofnąć się bez straty; w drugim przypadku, wypadło okrążyć blisko pół mili, i zostawić dwie inne kolu-

mny, mało liczniejsze od strzeleckiej, na skutki niepewnej walki.

Nadto, miejscem polyczki, były to rozległe, sapiaste łąki, pokryte śniegiem, posuwający się zatem, nie wiedząc wcale o tem, ślizgali się i padali bardzo często, przez co nieporządek powstawał w ich szeregach.

Buczys, obsadził krańce lasu większą połową swoich ludzi, sam zaś z 20 towarzyszami posunął się, pod zasłoną drzew, o wiele w bok, mając zamiar napaść niespodzianie na lewe skrzydło nieprzyjaciela.

Meda dokładnie знаła tę okolicę. Czula ona, w jakim Szwedzi wkrótce znajdą się położeniu, a nawet mogła to z pewnością przewidzieć, spozierając na wysoko wzniesioną mogiłę szwedzką, którzy w tem miejscu prawie w takichże samych okolicznościach, za Jana Kazimierza, klęskę

ponieśli. Nie obawiała się przeto wcale o Buczysa, ale chciała zwycięstwo jego uzupełnić, i na pogardę otoczone głowy, rzucić gałązkę lauru, zazwyczaj w cnotach nas utrwalającego.

— Dzieci, — wołała z dachu, — zrzućcie most na rzecę, to wstrzyma tych co tu wracają, a sami weźcie się do roboty. Buczys tamtych pokona, bądźcie pewni.

— Czy być może?

— Doprawdy?

— Chwała Bogu.

— Buczys zwycięży, pokona.

Przepowiednia Medy była dostateczną. Wszyscy wieśniacy tak z Giwokor jak i z sąsiednich wsi na we-sele przybyli, wkrótce zebrali się w stanie zdolnym do obrony, Bartłomieja obierając wodzem. Stara nie opuściła jeszcze dachu, lecz ciągle mówiła: Wracają, wracają, będzie im tu cie-

pło, ... moje dzieci kochane, pójdźcie z wesela obszerny kopać grób wrogom.

Od niejakiego czasu ustaly były wystrzały. Kolumna, która po niepomysłnej probie przeprawienia się przez rzekę, wracała do wsi, już w niewielkiej znajdowała się odległości; dwie inne zbliżone były do lasu na niecały karabinowy strzał. — Księżyc skrył się za chmury.

— Do dzieła, chłopcy! — zawołała stara, a wieśniacy rzucili się z wściekłością na niespodziewających się ataku Szwedów. Pierwsze szeregi upadły pod ciosami nożów, widel, lub grubych pałek, ... lecz następne powitały nacierających gęstym ogniem.

W tej właśnie chwili obudził się także las; i grom wystrzałów rozległ się w powietrzu.

Stara zlazła z dachu, połączyła się z walczącymi, wołając:

— Buczys niedaleko, śmiało, dalej, naprzód!

Nieodgadnione wyroki Przedwiecznego chciały, aby starosta Wilczyński z Rudolfem i wiernym sługą, po uwolnieniu się prawie cudownym sposobem z grodzieńskiego więzienia, dokąd był z Lidy przeniesionym, właśnie zaraz po wyjeździe Bartłomieja z Trok i udaniu się tegoż na wesele do Giwokor, powrócił do swojej siedziby. Zaledwie dowiedział się, w którym miejscu córki jego mieszkają, zaraz tamże się udał, i przybył wtenczas, gdy Szwedzi, którzy z Wilna wyruszyli, wkraczali do Trok.

Miłość ojca ustąpiła potrzebie. Wiadomość, że wojsko to składa wyprawę przeciwko Buczysowi, natchnęła Wilczyńskiego rycerskim duchem. Kto mógł stawiał się pod jego rozkazy, a

Tatarzy, ujrzawszy swego przyjaciela, Rudolfa, także wsiedli na koń.

Godzina dwónasta w nocy wybiła, kiedy starosta przeszło z stu jeźdźcami, skierował się na drogę do Giwokor idącą.

Jeszcze nie dojechał Zaboboskich dworca, gdy jeden z Tatarów zsiadł z konia i przyległ do ziemi; a potem zerwał się, i radośnie zawołał:

— Allah! już się biją, — i wskoczył na bieguna.

Wilczyński puścił cugle, a za nim wszyscy mu towarzyszący.

Giwokory.

Na ulicy zmieszani Szwedzi z wieśniakami, walczą wręcz. Tu ogień zupełnie ustał, lecz od lasu zbliża się coraz bardziej.

— Smiało, — woła Meda, — Buczys o kilka kroków, przecież słyszycie

głośne naszych hurra! Nie bójcie się, zwyciężacie wszędzie.

Wieśniacy z nowym zapalem nacierają na wrogów i przypierają ich do rzeki. Wielu z Szwedów po pozostałych belkach od mostu, usiłuje przejść na drugą stronę, ale w tem miejscu spotykają się właśnie z uciekającymi przed pogonią Buczysa. Jeden drugiego spycha na lód, który nie mogąc znieść ciężaru padających, łamie się, a woda pochłania ich ciała.

— Z drogi, panowie bracia, z drogi! Wieśniacy rozbiegli się na pobocza ulicy, a jazda czwaletem wpadła na nieprzyjaciela.

— Gdzie mój Jan... a Czywas... a pan starosta? — wołała nowo-zaślubiona, szukając pomiędzy zwycięzcami osób sobie drogich.

Księżyc wychylił tarcz swoją z poza chmur. Szwedów już nie było. Przed karczmą i włościańskimi chałtami stały konie Wilczyńskiego jeźdźców, a na wszystkich kominach paliły się ognie. Już nietylko w karczmie, ale i na ulicy tańczono, i w każdej chacie radość; ale Medy nie ma nigdzie;—szukają—wołają,—nikt nie odpowiada. Wilczyński z Buczysem i kilku innymi, z zapaloną łuczywą, zacierają w oczy każdemu z pozostałych na pobojuwisku, ale pomiędzy nimi, nie ma wcale wieszczbiarki!!

I gdzież ona jest? Pójdźcie, przy zrzuconym moście jest mały dołek, a w nim znajdziecie ją leżącą obok Wiecha. Szwed silnym i dobrze wymierzonym razem pozbawił go życia wobec Medy, stara rzuciła się na niego, zatopiła paznogie w oczy, zęboma rozdarła gardło. W tej to chwili nastąpił atak

kawalerji. Meda potracona przez konia, upadła na ziemię, a kopyto rumaka zdruzgotało tylną część jej głowy.

Taki był skon stariej kobiety, którą wieszczbiarką, a częściej czarownicą nazywano.

Resztę nocy Wilczyński przepędził w Giwokorach, rozmawiając ciągle z Buczysem. Jan nie mógł się dosyć nacieszyć z Rudolfem, jego żona z dawno niewidzianym bratem. Jeden tylko Kirlik, nie mając nikogo wyłącznie dla siebie, poszedł kopać grób i modlić się za starą Medę, w chacie której za syna był uważany.

Postępek ostatni starosty, skutkiem którego była zupełna porażka Szwedów, ściągnął na niego prześladowanie ostatnich. Z uniesionym groszem, tulał się po lasach, u poczciwych wieśniaków gościnne znajdując przyje-

cie. On, Rudolf, trzy siostry Wileczyńskie i dwóch służących, skazani byli na to tulackie życie, aż do pamiętnej Połtawskiej bitwy. Buczys, z zmniejszonym oddziałem swoim, ścigany z miejsca na miejsce, walczył w chwilach ostatecznych. Życie mu się sprzykrzyło, pragnął zginąć, ale kule go nie sięgały, a miecz dotknąć nie mógł, bo obok stojący Czywas i Kirlik, zamachy nieprzyjaciół odbijali. Nakoniec, wszystko już zamilkło, i w trockiej ziemi nikt nie słyszał o Buczysie i jego towarzyszach.

A jednak, gdy noc burzliwa rzucała pioruny, a pas bladej błyskawicy, oświecił fronton spustoszonej kaplicy, byłbyś w taką noc ujrzał zawsze trzech ludzi w grobie Marji, modlących się szczerze i wzajemnie pocieszających się; — gdybyś mimochcąc wstąpił w siedzibę dwóch Tatarek,

byłbyś także zastał tam czarno ubraną kobietę, bez lewej ręki, oblakaną kwiatami ubierającą łóżka, stolki i stoły; — sypiącą małe mogiły w ogródku i stawiającą nad niemi czarne krzyże. Kobieta ta zdawała się kochać już tylko w samym smętarzu, a brzmienie gitary przywracało tyle jej jeszcze przytomności, że przypominała swoje błędy i gorzko zapłakać mogła.

Niewiasta ta, pewnej nocy, skrwawiona weszła na podwórko Tatarek, ból wyciskał z piersi jej głuche jęki. — Czekanowski otworzył drzwi, i ujrzał — ranną Elżbietę.

Niebadano gdzie, kiedy odniosła ranę, Elżbieta była już oblakaną. Odjęto jej rękę, a gdy Tatarkom wiadomem było, że starosta z dóbr swoich ustąpić musiał, i nieszczęśliwa nigdzie nie znajdzie przytulku, trockie dziewczę, Tatarki - chrześcjanek, pielęgn-

wały starannie i nprzedzały wszelkie jej chęci.

Kiedy noc taka, w jaką niegdyś szła do kaplicy, dla zobaczenia zwłok Marji, zawitała na horyzoncie, a księżyc promienie padały na skromne Elżbiety łoże, wstawała ona i z zupełną przytomnością odnawiała pacierze, a potem.... płakała, płakała długo; — teraz kochała ona prawdziwie i chętnie siebie dla szczęścia Ludwika poświęciłaby.

— Tak więc wszystkie prawie osoby do powieści tej wpływające, zupełnie były rozdzielone, i wcale o sobie nie wiedziały.

\*

Jeżeliście mieszkali kiedy w puszczach ciemnych i ponurych, gdzie tylko trop dzikiego zwierzęcia napotkać możemy, w budniczej chacie, w ziemię wgłębionej, — jeżeli w tej

chacie obok pięknej znajdowaliście się kobiety, oddech której mieszał się z waszym, a w nocy bicie jej serca słyszeć mogliście, — jeżeli ta kobieta w tem odludnem i nieprzystępnem miejscu, poświęceniem się nad swe siły, słodką uprzejmością, czułą rozmową i palącym wzrokiem, nie wzbudziła w was uczucia, — jesteście wyższymi nad śmiertelnych.

Rudolf nie był tak silnym. Po bitwie w Giwokorach, dowiedziawszy się od Jana, że Missalla i Ayesza tudzież Szafranowicz, niewiadomo dokąd się udały, a oprócz tego unikając wiszącego nad głową wyroku, Czekanowski ani na chwilę nie odłączył się od Wilczyńskiego.

Pierwsza miłość nie wygasła w jego duszy, ale, tak jak każdy wątłego charakteru człowiek, wabiony będąc przez Karolinę sztuką zręcznej

kokietery, przyzwyczaił się do niej, i nabył tego przekonania, że nie konieczne potrzeba kochać, aby być szczęśliwym.

Karolina działała w widokach odległych swoich zamiarów, a prostoduszny Czekanowski, ufając jej wielkiej miłości, chciał z siebie zrobić ofiarę.

— Nie ujrzę nigdy Ayeszy, — mówił on do siebie, — a biedna Karolina tak mocno mnie kocha, że nie waham się całe moje życie poświęcić dla niej. Ona będzie szczęśliwa, ja będę żył jej szczęściem;... a czyliż za uściski, któremi mnie obdarzy, wzajemnie jej wyplacając się, nie będę mógł marzyć, że Ayeszę mam w moich objęciach. O! Karolina wszystko może ze mną zrobić, lecz serca mego nie posiadzie.

W tem zamknięciu się, przeszło dwa lata upłynęły. Spodziewam się zatem, iż wcale nie będziecie się dziwili, że w przeciągu tego czasu Karolina zupełnie odniosła nad Rudolfem zwycięstwo, że myśli jego i zdania poszły za myślami Karoliny; — co za wyborne zdarzenie, jak wielki tryumf dla przewrotnej kobiety!

Poltawa zmieniła postać rzeczy. Starosta wrócił do dóbr swoich, nie jako podstarzały mąż, lecz jako schorowany, wycieńczony, pożółkły starzec. Słaby rumieniec okrył wprawdzie zmarszczkami pokryte lica jego, gdy Rudolf z Karoliną w farnym trockim kościele wzajemne czynili sobie przysięgi, ale ten rumieniec był ostatnim, jaki zakwitł na policzkach poczciwego Wilczyńskiego.

Wkrótce miały go dotknąć sroższe, bo moralne cierpienia, — Karolina o-

władnęła zarząd dóbr. Ubóstwo Rudolfa nie dozwalało mu czynić żadnych z wolą jego zgodnych rozporządzeń, stał się on maszyną poruszaną przez żonę, a gdy niesmak osiadał niekiedy na jego ustach lub czoło pokryło się pomroką, wówczas Karolina, w słowach słodka, w oczach namiętna, w postawie rozkazująca, jawiła się przed nim. Widok jej rozbijał dzielność Czekanowskiego; — on to był stworzony na kobietę, lub na męża dla kobiety dziecinnęj naiwności, anielskiej łagodności i boskiej dobroci.

— Pojedziemy do kościoła, — mówiła Karolina.

— Dobrze, — odpowiadał Rudolf.

— Dzisiaj odwiedzimy państwa M.

— Służę ci, moja droga.

— Dajemy w niedzielę bal.

— A co ci potrzebnem będzie?

— Zostaniesz w domu;... rosa, mógłbyś przemoczyć nogi.

Rudolf cały dzień nie wyszedł, pomimo, że promienie słońca dawno krople rosy zebrały.

Widzicie, jak wiele było łagodności w Rudolfie, więcej nawet jak przysłało dla mężczyzny, i więcej jak potrzeba do szczęścia małżonków.



III.

KOCHAMCI.

**I**stotnie, — mówiła pewnego dnia do siebie Karolina, składając książkę do nabożeństwa, — Rudolf jest bardzo dobry człowiek. Jakie serce, jak bogaty umysł! Szkoda, że go nie kocham, ale on sam winien temu. Bo rzeczywiście, nie pojmuję, któraby mu kobieta oprzeć się mogła: temu ułożeniu, nadskakiwaniu, delikatności, temu łagodnemu lecz zarazem żywemu wejrzaniu... a głos, głos jego

brzmi mi przyjemniej w uszach od tonów czułego fletu; a poruszenia zgrabnej jego kibici, tak są pociągające, iż, jeszcze raz powtarzam, że żadna kobieta obojętną pozostaćby nie mogła.

— Nawet ja kochałabym go, czuje to, gdyby był więcej surowy, mniej pobłażający, i wyprzedzając mnie, wytykał drogę, z którejby nie dozwalał zbaczać. Ha! Któż mu winien... po cóż dał się wprowadzić w kabałę. Zresztą, jestem szczęśliwą, cóż mnie on obchodzić może. (!!!)

Tak mówiła Karolina, która nigdy nie kochała, a która przez ścisłe ograniczenie zdolną tylko była zachować się w karbach przyzwoitości. Są kobiety, które dla interesu, dla bogactw, dóbr i ekwipażów, zaprzędają się; — są kobiety, które dla zgrabnie wystrzyżonej czuprynki fireyka, dla podbite-

go aksamitem płaszczyka szulera, lub wywiniętych mankietków, koniecznie z zagranicznego (!) płótna, złoczyńcy, bezwstydnie im się oddają; — są także kobiety gustujące w błazeńskiej komiczności, w płaskim dowcipie, w szarlatańskiej filozofji, w gadaniu papuziej, w ulicznych małpich skokach, w dziecinniej rezonadzie, w nosowej francuzkiej wymowie, w potrząsaniu kudłami pustej głowy, w białych rękawiczkach, glansowanych bucikach i atlasowym krawacie. Biedne! stokroć biedne! brak wychowania, idej czystego rozumu, i roztrwonięcie uczuć serca, wypycha ich na plac pośmiewiska, obinowy, niesławy, pogardy! — Takie kobiety nie godneż liłości? — Ale są jeszcze kobiety, odróżniające się zupełnie od pierwszych; tamte dla złota, dumy, miodowych słówek, lub podobnych i wyliczonych

wyżej przedmiotów, te zaś oddadzą pieniądze, przekażą dobra, zapomną o obowiązkach, potierają przysięgi, zhańbione imię zostawią potomstwu, rodzinę zgryzotą napoją: dla własnych namiętności; — takie kobiety są podle!

Pierwszych więcej, ostatnich mniej jest; a jeśli mam prawdę powiedzieć, oba te rodzaje w małej tylko liczbie istnieją pomiędzy istotami, którym winniśmy życie, i które najpiękniejszą są ozdobą świata.

Możecie sobie i Elżbietę i Karolinę, w którym zechcecie pomieścić rzedzie.

Starościanka, po takich uwagach, weszła do pokoju, w którym zwykł przebywać Rudolf. Komnata obszerna. Pomiędzy dwoma oknami stoi stół długi, czarnem przykryty suknem, a na nim rozrzuconych kilkanaście

książek, świadczyło, że mąż Karoliny przepędził noc niespokojnie; lampa dogorywała, fajka oparta o poręczowe krzesło jeszcze była nieostygła, dowód, iż Rudolf nie dawno udał się na spoczynek; atrament na piórze jeszcze nie zasechł, a przecież nie ma żadnego pisma, pomimo, że skrawki papieru leżące na stole, jawnie przekonywają o pisanym liście.

Karolina zbliżyła się do łóża, uchyliła kotary. Rudolf był blady, usta spieczone, oddech ciężki i niepewny — leżał w ubraniu. Widocznie był cierpiącym.

— Do kogo on pisał.... poszukajmy.... ha; pistolety na krześle.... tylko jeden nabity... miałaby odkryć?... nie, to być nie może....

Karolina usiadła przy mężu.

— Może zamierza odebrać sobie życie?... kto wie... religjant... nie...

a przebież przedź przypuszcze pier-  
wsze, anizeli myśl odebrania komu...  
niepojety człowiek,... żał mi go;...  
do kogo on pisał;... tajemnie,... krti-  
cyliks w ręku, ten co pozostał po jego  
matce, musiał o czemś stanowczo  
rozważać. Może się myłę, może pod tą  
łagodnością, pod tem pozornem niedo-  
rozumiewaniem,... ukrywa staranniej  
odemnie tajemnice moje?... Przy jego  
szlachetności mogę się tego spodzie-  
wać....

Karolina powstała z krzesła, wzięła  
do rąk pistolet, wykręciła nabój, w  
miejsce jego nasypała z piaseczni-  
czki piasku, i przybiła ładunek ten ka-  
wałkiem papieru; potem opuściła mie-  
szkanie Rudolfa, powróciła do swego.  
kazała przywołać Szczepana, i polecie-  
ła mu nieodstępnie znajdować się  
przy Czekanowskim.

Dzień cały Rudolf był milczący, smutny.

Wieczorem, przy wieczerzy, starosta rozpowiadał swoją młodzież, zaślubiny Anny, Klary, życie Ludwika i zniknięcie jego.

— Biedny mój brat, — rzekł starosta, — po śmierci Marji opuścił świat, znikł i nigdy odtąd nie był szczęśliwym.

— Nie wiadomo, — przerwała Karolina, — może on nie żyje; w takim razie nie cierpi. A skoro ojciec mówi o niewiadomym jego pobycie, sędzę, że nie możesz twierdzić o jego niedoli.

— A jednakże tak być musi.

Jeden Rudolf pojął to mimowolne wymówienie się starosty, i dopiero teraz zrozumiał tak przyjazne usposobienie teścia swego dla Buczysa.

— Może też skrócił swoje cierpienia, — wtrącił Czekanowski.

— Co mówisz, synu;... to byłoby dla mnie nie do zniesienia; chciałbym koniecznie widzieć go jeszcze spokojnym, szczęśliwym, oddać część mu przypadającą.

Karolina zbladła.

— Skoro dotąd nie upominał się o nią, mniemam, że pieniądze nie uważa za środek, mogący go uszczęśliwić.

— O tem jestem zupełnie przekonany, ale milej mi byłoby, gdyby każdy odebrał to, co jego jest własnością.

— Zapewne. A nie możnaby go wyszukać?

— Jużem się o to starał.

— I żadnych śladów.

— Żadnych, niestety; ten człowiek tyle dumny, ile był kochający.

— Ojczy, może zechcesz użyć przechadzki, wieczór piękny, cichy, pogodny, Rudolf będzie nam towarzyszyć, prawda kochanciu?

— Ach! dobra Karolino, jestem trochę słaby, uwolnij mnie dzisiaj.

— Właśnie przechadzka wróci ci zdrowie i humor, pójdź, — żona zwróciła na męża oczy, w których rozkaz piekielny wyczytać można było.

Wszyscy troje, ujawszy się pod ręce, wyszli w pole, po za ogród, na tę ścieżkę, którą niegdyś Elżbieta, w nocy, dążyła do grobu Marji. Szczepan z strzelbą o kilka za nimi postępował kroków.

Pamiętacie kopiec, przy którym Wiech czekał na Elżbietę. Za tym to kopcem, mignął jakiś cień, Rudolf zadrżał, starosta i Szczepan zatrzymali się, jedna tylko Karolina nie zmieszana, zapytała:

— Co to?

Rudolf nic nie odpowiedział.

— Zadrzałeś, mężu?

— Nie wiem dla czego.

— Taisz się?

— Nie.

— Dzisiaj dzień cały szczególnie jesteś zamyślony.

— Spać w nocy nie mogłem. Obraz matki ciągle mi przedstawiał się przed oczyma.

— Powiedz, czyś słaby, powiedz mi? zaklinam cię na miłość naszą.

Rudolf wzdrygnął się konwulsyjnie.

— Rudolfie, ty mnie zwodzisz, ty jesteś cierpiącym... czyliżem niegodna twego zaufania? niekochasz już mnie?

— Kocham, ... Kocham bardzo, — odparł Rudolf i westchnął.

Karolina pojęła znaczenie tego westchnienia. Gniew zakolorował jej twarz, zwróciła do milczącego dotąd

ojca rozmowę, i niekiedy tylko rzuciła po za siebie wzrok, na ominiony kopic.

— Oj! jegomościulku! — przemówił Szczepan, — wszystko mi się здаje, że bies jakiś kręci się na granicy.

— Pozwolisz ojcie sprawdzić podejrzenia Szczepana? — dodał Rudolf.

Karolina silniej opuszcila się na rękę Rudolfa, i rzekła: — A któż mnie wspierać będzie, Rudolfie nie dobry jesteś, chcesz ojca i żonę samych w polu pozostawić, i śledzić kroki może jakiego wieśniaka, garstkę siana dla bydelka swego z naszych łąk zabrać zamierzającego; my nie zubożejem, a on może na jutro nie ma kropli mleka dla swoich małych dzieciaczków.

W samo serce uderzony Rudolf, nie sprzeciwiał się więcej, i zawrócił na inną ścieżkę, okalającą dworskie zabudowania.

Czekanowski życząc dobrej nocy, udał się do swego pokoju; łączył się on drzwiami z gabinetem jego żony, ale drzwi te zastawić kazała Karolina szafą, a przez to bezpośredni związek przerwany został. Rudolf nie uskarżał się na to bynajmniej, poznał on serce swojej żony, lubo dopiero trzy miesiące tylko upłynęło od ślubnego obrzędu.

Za przybyciem do swego pomieszkania, Rudolf obejrzał pistolet, a przekonawszy się, że jest nabity, ukląkł i długo się modlił. Myślą przebiegał całe swoje życie, myślą błagał Stwórcę o miłosierdzie, myślą żegnał świat, łzę poświęcił pamięci matki i Gabrijela, westchnienie jego córkom, Szafranowiczowi, staroście; zupełne przebaczenie zostawiał żonie. Podniósł się, dobył list z zanadrza, położył go na

stole, a potem lufę pistoletu przyłożył do prawego ucha.

Działo się to w końcu października 1709 roku, z za kopca, który zwrócił był uwagę Rudolfa i Szczepana, wysunęła się zwolna jakaś postać, i, pod zasłoną nocy, zmierzała prosto ku oknom pokoju Karoliny. Droga dostatecznie musi jej być znana, bowiem omija zręcznie wielkie kamienie i doły na niej będące. Właśnie zbliżyła się do płotu, przekroczyła przezeń, a okienica jedna z cichością otworzyła się i kobieta lekko wyskoczyła oknem, dążąc ku budzie ogrodniczej, w której nikt nie nocowywał.

Godzina naznaczona była dopilnowaną.

Jakkolwiek okienica z wielką ostrożnością otwierana była, przecież słaby szelest nie uszedł uwagi Rudolfa, któ-

ry w tej chwili miał zamiar życie sobie odebrać; pistolet wypadł mu z ręki, pot zimny oblał czoło; — bojaźń hańby większą była od śmierci.

Czekanowski, wyszedł na korytarz, a z tego ujął lekko klamkę drzwi pokoju Karoliny; — były zamknięte. Pochylił się zatem do dziurki zamkowej — zupełnie ciemno; musiał się omylić, wyobraźnia rozogniona w błąd go wprowadziła; — ale — cug powietrza pociąga silnie, i nie tak, jak z pokoju, w którym wszystko starannie jest opatrzonem. Serce bije mu gwałtownie, krew naciska skronie, zaledwie może oddychać, głos jakiś powtarza mu ciągle: hańba! niesławna! — Zaciął zęby, bo wzruszenie było tak silnem, że pomimowolnie one szczekały, powrócił do swego pokoju, zwolna otworzył okno, wylazł do ogrodu, pochylił się ku ziemi, i popa-

trzył — nic nie widać, wiatr tylko szumi i strąca żółkle liście z drzew owocowych. Rudolf szedł ostrożnie, zatrzymywał się za każdym razem, gdy łodyga rośliny lub suche liście zaszeleściały pod jego stopami.... kilka tylko jest kroków od krańców ogrodu, znowu przylega do ziemi... pomiędzy budką strażniczą a kilkoma jabłoniami, rysują się jakieś figury, jakieś gesta, — wiatr ustał, poszept wyrazów doleciał Rudolfa. Zbliża się, odwodzi kurek, już nie dla siebie, i staje za drzewem tak blisko, że gdyby wyciągnął rękę, lufa pistoletu dotknęłaby barków stojącego przed nim mężczyzny; już podnosi broń, — w tem słyszy opowiadanie, ręka mu opada, nadstawia ucha.

— ..... Powiadam ci, że inne miejsce obrać musimy, byłbym tu także

wczoraj, ale przejeżdżając okolo kaplicy, dostrzegłem w niej światło. .

— I wróciłeś do domu?

— A cóż miałem robić, znowu miałem się narażać?

— Nie; po co narażać się, samabym na to nie zezwoliła; trzeba było uwiadomić okolicznych sąsiadów, byliby przecież mogli się pomścić, za dawniejszą zbójcką sprawkę.

— Kiedy mówią, że to Buczys pokutuje w tej kaplicy, a wiesz jak go w powiecie naszym kochają, szczególnie od czasu ocalenia twego ojca, od najazdu nieboszczyka Darwerda... Zresztą najodważniejsi wyginęli, a pobliscy są mnie nie życzliwi. W Giwokorach, (choć blisko miła) gospodaruje Sapieszko, otrzymawszy je w dziedzictwie po babce, ciotce czy wujence; a w wiosce S\*\*\*, sprzedanej

po Darwerdzie, siedzi przyjaciel twego męża, Szafranowicz, i zarządza niemi na rzecz dwóch Tatarek, które od czasu, jak się równocześnie dowiedziały, że Rudolf żyje i że z tobą się ożenił, wyjechały do Wilna i tam podobno mają zamiar wstąpić do zakonu. Szafranowicz gniewa się na twego męża, dowiedziałem się o tem od jego furmana; lecz Buczysa, jeźli by mu nie pomógł, nigdy by nie prześladował; — ale — co ci powiem, mieszka razem z warjatką, która, jak tenże służący opowiadał, oprócz pomieszczenia zmysłów, jeszcze jest kaleką, pozbawioną lewej ręki.

— No proszę, to stary dziad jeszcze myśli o miłości, i, jak uważam, dla tego wysłał siostry moje do zakonu, aby potem przywłaszczyć sobie wioseczkę; no, pomyślę ja o tem; ten Rudolf, nieoszacowany mój

służalce, co mu każe pewno do joty wykona; — śpi spokojnie nieborak, albo w książkach ślęczy; — a my tymczasem, z radością możemy się uściśkać.

Całus głośny obił się o uszy Rudolfa, krew zawrzała mu w pierśsiach, ale rozum kazał mu powściągnąć się.

— Zimno.. — mówił mężczyzna, — przeziębiesz, pójdźmy do budki.

— Nie można, tam słonia mokra; umyślnie patrzałam dzisiaj w południe.

— Nie kochasz mnie.

— Wątpisz-że Edwardzie, ja tyle dałam ci dowodów.

— Prawda, busiaka, co mi za dowody, ... a innemu poświęciłaś się cała.

— Czyliżem nie mówiła, że czynię to dla dobra naszej przyszłości; tak

Edwardzie, — całując prowadziła rzecz dalej Karolina, — miejmy nadzieję, przyszłość dla nas będzie rozkoszną.

— Dla czegoż teraźniejszości nie możemy osładzać?

— Ach! ty zawsze swoje, wracam już do domu... do niedzieli, w kościele; mężowi powiem, żeby pozostał przy chorym ojcu.

— A siostry?

— Te głupie dzieciaki, potrafię przecież po swjej myśli skierować.

— Bywaj zdrowa, niedobra.

— Jeszcze całus.

Długi uścisk był pożegnaniem kochanków.

Karolina pobiegła śpiesznie przez ogród, a za nią szedł powoli Rudolf. Głowa jego podobna była do balonu gazem napelnionego. Jej ciężar był tak wielki, a mnogość wiadomości i

okropnych wrażeń tak rozległa, że Czekanowski bezprzytomny prawie wszedł do swojej komnaty, usiadł przy oknie i pogrążył się myślą w bezdnią serc ludzkich.

Ayesza i Missalla żyją, mają zamiar wstąpić do klasztoru, wiedzą że on ożenił się, i mają być siostrami Karoliny, — są właścicielkami wsi po Darwerdzie, rządzi nią Szafranowicz i mieszka z obłąkaną kaleką!! — Karolina go zwiodła, a nietylko że nigdy nie kochała, lecz udając miłość, ma jeszcze zamiar użyć go do machjawelskiej przewrotności swęj zamiarów, a potem, obiecuje przyszłość pomyślną człowiekowi, za którym oprócz głupoty, dumy i zbrodni, nic więcej nie przemawiało.

Małoż to było materiałów do myślenia!?

Tak resztę nocy przesiedział Rudolf, i w tém położeniu zastała go z rana Karolina,

— Tak rano wstałeś?

— Wcześniej się wczoraj, jak wiesz, położyłem, słońce mnie obudziło; parno mi było... otworzyłem okno.

— Co ci jest? — rzekła z udaną troskliwością Karolina, — nocą bywają tak chłodne, a tobie gorąco?

— Zkądże wiesz, że chłodne?

— To zabawne pytanie... chłodne, październikowe.

— A, prawda, to październik, — pomruknął Rudolf, zaledwie zdolny uczucia swe ukryć.

— Tyś chory, ja to wczoraj widziałam; dla czego ukrywasz się przedemną, ja cię tak kocham, Rudolfie, najdroższy mężu, — i Karolina uklękła ściskając kolana męża.

— O! wierzę, Karolino, w twoje dobre i szlachetne serce, ale ja nie pojmuję co ze mną się dzieje. Sny niepokojne, szkielety, cmentarze, mary, noże, krew, krzyże, mordy, pogrzeby, woda nad głową, powietrze pod nogami, wszystko się przewraca, wiruje, burzy moją krew;... głowa mnie boli.

— Gorączka.

— Muszę konno przejechać się ruch może mi doda sił.

— Pojedziesz z Szczepanem? prawda?

— Szczepan stary, nie byłby w stanie zrównać ze mną; ja będę czwałem pędzić... dla ruchu... i nie dbam o rowy, płoty, krzaki, ... pojedę po żołniersku, ... Szczepan już zniedołężniał, taka jazda zabiłaby go.

— A ty sam chcesz się zabić, także mnie to kochasz... nie dosyć

tych wojaczek; ... ojciec słaby, może umrzeć; któż będzie dla mnie i siostr moich opiekunem? Rudolfie nie zapominaj twoich przysiąg i obowiązków.

— Dziękuję, — rzekł, całując w rękę Karoliny, Rudolf; a rękę tę odepchnąłby, a przysięgę, gdyby nie Bóg, rozdarłby na części spoić się nie mogące.

— Więc idę, każę ci okulbaczyć Derwisza.

— On się potyka.

— Tem lepiej, będziesz ostrożniej jechał.

Karolina wyszła.

— Szatan nie kobieta, — mówił prędko a cicho Czekanowski, — co za przewrotność, ... ha! to i potępieniec nie zdołałby odegrać tak fatalnej roli... piekło..... szczęśliwy starosta, on umrze nie długo, ale i ja... obiecała

przecież Edwardowi przyszłość rozkoszną, więc także umrę... zawsze ten Edward, zawsze podły, ciągle mnie ściga, prześladowa, a ja nie chciałem go nawet przed trybunał sprawiedliwości powołać; i na cóż przyda się wspaniałomyślność, co znaczy dobroć serca? koniecznie usiłują człowieka zrobić złym na świecie,... Boże! dodaj mi sił rozumu, oświeć mnie! O! już teraz precz samobójstwo, trzeba maskę zedrzeć, nagotę przebrzydłych charakterów odkryć; potem, niech się dzieje wola Stworcy.

— Panie, Derwisz osiadłany, ... pani prosi na polewkę.

Rudolf udał się do rodzinnego salonu, i tu musiał udawać spokojnego, wesołego. Trudziły go kłamane uczucia, jednakże usiłował im nadać, ile tylko mógł, pozór prawdy.

Chciał on, przed swoją śmiercią, wyjaśnić wszelkie zaciemnione intrygą okoliczności, i od planu tego, niktby go nie odwiódł. Nie przywiązywał wprawdzie wiele wartości do życia, które nie w jednej rozprawie na nieprzyjacielskie żelazo nadstawiał, ale nie mógł bez poniżenia myśleć, że z jego łagodności i poczciwego charakteru, zamierzono uczynić narzędzie zguby wielu istot, i to takich, które nieobłudnie kochał. Gdyby nawet były to zupełnie obce i nieznane mu osoby, to i tych oszczędzałby nawet wtenczas, kiedyby one przeciwko niemu działały. Znamy jego sposób myślenia, i na chwilę nie możemy wątpić, że wykonania zamiarów, jakie miała Karolina, nigdyby nie podjął się. Lecz Rudolf życzył sobie, iżby nikt nawet ich nie uskutečnił, i, aby on, kończąc przykrą swiata tego piel-

grzymkę, widział zabezpieczone własności, byt i całość ukochanych osób, a w całości zniweczone dążności, niegodnej imienia człowieka, kobiety.

Po śniadaniu wyjechał Rudolf z Szczepanem.

— Wszystko mi się zdaje, panie Rudolfie, — rzekł stary, spoufalony z Wilczyńskich rodziną sługa, równając się z Czekanowskim, — że wczoraj za kopcem ukrywał się podejrzany człowiek.

— I mnie to samo.

— Ja muszę go przypilnować; ręczę, że to nie był wieśniak.

— Zapewne.

— Panicz już dni kilka zamyślony, smutny; i myśmy się wszyscy posmucili, bo, przebacz mi, panie Rudolfie, na mój głupi rozum, nie bardzo jesteś szczęśliwym w małżeńskim twoim związku.

— Mylisz się, zacny Szczepanie.

— O! że się nie mylę, to nie. Starszy pan to anioł nie człowiek, ale panna Karolina, eh, omyliłem się, ale pańska żonka, to więcej podobna do swojej ciotki, Elżbiety, co to do klasztoru wstąpiła. Nie wiem z kąd się zjawił w jej duszy duch boży; bo prawdę mówiąc, nie bardzo była dobrą tą osobą.

Rudolf nie odpowiedział.

— Dokądże, panie, pojedziemy?

— Do wioski S\*\*\*.

— Co, panie, i tybyś miał tam zajrzeć, do tego siedliska złoczyńców?

— Mój Szczepanie, nie zawsze przebywali tam podobni Darwerdowi; wioska ta jest teraz w posiadaniu dwóch córek Tatara, który nam wszystkim pod Grodnem życie ocalił.

— A, tego, tego, jakże, Sulejmana.

— Tak.

— O! rad jestem, że tam jedziemy.

— Jednak, kochany Szczepanie, nie powiesz o tém nikomu, nawet staroście.

— Dobrze, jeżeli taka wola twoja, panie Rudolfie: przyznam się, iż wypełniłbym najchętniej prędzej twoje rozkazy, aniżeli prośby pańskiej żony. Wiem, nie będziesz się gniewał na starego, siwego Szczepana, ale, jakem szlachcic, prawdę powiedziałem.

— Możesz, mój przyjacielu, prędko jechać?

— O! dla czego nie; przypomnę sobie przynajmniej młode lata; lecz wprzody nałożę fajkę.

— Czemże ją zapalisz?

— Mam hupkę, i wziąłem pistolety,...to się czasem przydać może;... otoż i kopcę luleczkę; paniczu, puśćmy cugle, wszystek dym wypije.

W pół godziny, dwóch jeźdźców na śpionionych koniach, stało przy ganku dworskim. Szafranowicz wybiegł na podwórze, przeżegnał się, i zawołał:

— Cóż to ja widzę? Rudolffie, zkadże cię nieba prowadzą?

— Z niewiadomości do prawdy,— odpowiedział Czekanowski, rzucając się w objęcia prawdziwego przyjaciela.

— Nie rozumiem.

— Dla tego też objaśnię. Mój Szczepanie pójdźcie za mną... jestto, nie sługa, lecz przyjaciel,—dodał Rudolf obracając się do Szafranowicza.

— Prosiemy, prosiemy was obu dwóch; jakże się cieszę, tyś o mnie nie zapomniał, ty mnie jeszcze kochasz?

— Mogłoż być inaczej?

— Nie posiadam się z radości ; co za szczęśliwy dzień. Dopiero będę miał sposobność pomówienia obszernie.

Wszyscy trzej weszli do izby. Szafrowicz kazał przynieść wódki, chleba i wędzonki, a posadziwszy dwóch przybylców na krzesłach, wdał się z nimi w długą i szczegółową rozprawę. W miarę, jak przyjacielskie dusze otwierały się z serdeczną szczerotą, mowa stawała się silniejszą, wyrazistszą; cienka ściana przedzielała ich tylko od pokoju warjatk; Elżbieta usłyszała głos Szczepana, rozróżniła go, pomroka umysłowa ustąpiła, obłąkana uderzyła ręką w czoło, tak jakby chciała przywołać jakieś wspomnienie, a potem, nadstawiła pilnie ucha... i nieporuszona, słuchała, niekiedy tylko, dłonią przyciskając mocno bijące serce, we-

stehnęła; niekiedy otarła łzę, albo krople potu roszącego jej czoło, które opierała o ścianę. Dokładnie słyszała całą rozmowę, całe opowiadanie Rudolfa o schadzce, o przeniewierzeniu się Karoliny, o jej zamiarach. Elżbieta, lat trzy przechodząc przez okropne koleje, odzyskując czerstwość umysłu, prawie odrodziła się. Postępowanie Karoliny uważała za nikczemne, a obejmując pamięcią dawne swoje czyny, za zbrodnie je poczytywała. W jednej chwili pragnęła być w kościele, zrzucić ciężar grzechów, potem zobaczyć Buczysa, Marję; obalić zamiary Karoliny, poprawić ją, jeżeli można, a następnie wrócić do klasztoru, — który, że opuściła, dopiero w chwili wrócenia do zdrowia, przypomniawszy sobie.

Ta myśl stała się u niej panującą, i doprowadzić ją do celu niespodzia-

nie i szybko zamierzyła. Wyrzuty sumienia, obok tych szlachetnych usposobień, dręczyły ją ciągle. Zarzucała sobie, iż gdyby nie udzielała była Karolinie błędnych mniemań, gruntujących szczęście koniecznie na zebraniu bogactw, byłaby może ona, zapatrząc się na ciche lecz wzniosłe cnoty swego ojca, śladami jego poszła. Uznawała się przeto i w tym razie winną, i jeżeli zupełnie naprawić zle nie mogła, przynajmniej dalszym jego następstwom, tamę położyć postanowiła.

Z opowiadania Rudolfa wiedziała, iż Karolina ma mieć schadzkę w Trokach z swoim kochankiem; i że nie tylko Rudolf, ale i dwie Tatarki, i żaeny ich przyjaciel, przeznaczeni zostali na ofiary chciwości i namiętności jej siostrzenicy. Oprócz tego nie uszło jej uwagi, że związki krwi łą-

czą starostę z jej dobrodziejkami, i dla tego, zaraz po odjeździe Rudolfa, kiedy Szafranowicz, usiadłszy w krzesle, rozważał szczegółowo każdy wyraz młodego a już nieszczęśliwego swego przyjaciela, Elżbieta weszła do izby, w której się znajdował, i przytomnie mówić doń zaczęła, spodziewając się, że zmiana ta przerwie na pewien czas osłupienie, w jakim pogrążony był Szafranowicz.

Nadzieja jej nie została zawiedziona. Człowiek pocziwy ujrzawszy bliźniego, gniecionego poprzednio jakimkolwiek rodzajem niedoli, szczęśliwym; zapomina o swoich dolegliwościach, a uczucie ludzkości i radości najzupełniejszej, panuje wówczas nad wszelkimi innemi.

Zadziwienie Szafranowicza, najwyższego szczybla radości sięgające, zatarło natychmiast w zupełności go-

szczący na twarzy jego smutek, a skoro dowiedział się o pochodzeniu Elżbiety, zamierzał bezwzględnie udać się do starosty, i tylko usilne prośby pierwszej, zdołały go od kroku tego wstrzymać.

Elżbieta otwarcie i bez obludy po raz pierwszy może w życiu rozmawiała. Nie tajiła bynajmniej wiadomości, jaką otrzymała przez ścianę, i objawiła życzenie, wpłynięcia na sprawę tę, mniemając najsukuteczniej ją załatwić.

Szafranowicz wyjechał tegoż samego dnia do Wilna. Elżbieta, w nocy, tajemnie opuściła dwór i prosto udała się do kaplicy, w której miał znowu przebywać ukochany jej Ludwik.

Tym razem zawiedziona została. Drzwi kaplicy były zamknięte. Elżbieta rozsypała przed nimi przyniesione jesienne kwiaty, poświę-

cila godzinę wspomnieniom, łzami oblała progi świątyni, i wróciła do dworu.

— Jeszcze trzy dni do niedzieli, — mówiła kładąc się do łóżka, — czyliżem się mogła spodziewać, aby prawie wszyscy żyjący członkowie rodziny Wilczyńskich, w okolicach tych zgromadzeni, i aby wszyscy oni mniej więcej nie przychylnymi dla siebie byli; a jeżeli sprawiedliwie i bezstronnie, nieschlebiając własnej miłości, sądzić będę, ja, moja duma i chciwość, moja nikczemna pycha, prawie wszystkiemu temu winna. Nie wiem jeszcze co się stało z Anną, siostrą Karola, i z jej mężem... i oni może mnie przeklinają, może zlorzecząc pomarli w nędzy, i miecznik umarł przezemnie..... okropnie.... jakie to widma.... mąż..., Marja.....

Elżbieta wpadła w pewien stan o-  
trętwienia, w którym do powrotu Sza-  
franowicza znajdowała się.



#### IV.

#### ŚWIAT ZMIENNY.

**P**rzy skonie Sulejmana, jeżeli bacznie zważaliście na jego córki, dokładnie możecie o sile charakteru ich wnioskować. Szafranowicz przybywszy do Wilna, zastał wielkie zmiany. Missalla kochała, Missalla była zaręczoną! Ayesza, która nigdy nie objawiała chęci wstąpienia do zakonu, dziś o tem najszczerzej myślała!

Wszystko jest zmiennem na świecie, oprócz Boga, powiedział pewien

mąż stanu, zwiedzającemu groby władzcy. Zaiste, czyliż nie możemy i powiastce naszej wielkiego zdania tego przyswoić. Widzieliśmy wrzące namiętności, uspokojone wpływem słów kochanego; widzieliśmy zbrodniarza, którego religja na drogę człowieczeństwa zwróciła; byliśmy świadkami wielu słabości, zdrożności, występków, a naprzeciwno nich szlachetności, poświęcenia się i wspaniałomyślności.

Nie dosyć samym postępować po ścieszcze cnoty, trzeba wpływać na innych. Rodzice, którzy powierzają dzieci swe opiece nawet bliskich krewnych, powinni niemniej czuwać. Obowiązani są ani zbyt być porywczymi, ani też zupełnie i ślepo ufającymi. Podejrzliwość jest wadą, ale zaniedbanie nie raz staje się źródłem zbrodni.

Niedziela naznaczona zbliżała się. Starosta z każdą chwilą stawał się słabszym. Kustosz bernardynów odwiedził go, a gdy przechodził przez pokoje do chorego, zginano kolana, zniżano ku ziemi głowy — szedł z Zbawcą.

Elżbieta także była chora, i, ani kaplicy odwiedzić, gdzie już nie w zamiarze samego tylko widzenia kochanka i zwłok Marji, udać się chciała, ani też w Trokach być nie mogła.

\*

Niedziela, lud tłumnie z poblizszych okolic zaludnia trockie ulice, po jeziorze szybują statki, wiozące także pobożnych. Jeden z nich mieści w sobie trzech mężczyzn, jednostajnie ubranych, po rybacku; silne widać ich dłonie, bowiem statek wielki, a jednak prześciga wszystkie inne. Na dnie jego, w koszu świeżo uplecio-

nym, mnóstwo bukietów, doborem kwiatów i ich żywemi kolorami wabiących oko. Twarze płynących spokojne, ale nie ma w nich uśmiechu, nie ma rozlanej błogości duszy, rzekłbyś, że pod tą spokojnością, kryją się cierpienia moralne, tak dotkliwie uciśkające człowieka.

Wysiedli. Barkę uwiązali, zabrali kwiaty, i z założonemi na ramiona wiosłami, wstąpili do chaty tuż stojącej nad wodą. Domek zapadły w ziemię, ubogi, lecz czysty, ogród w okolo niego porządnie utrzymany, na ławce, w podwórku bawią się drobne działki, gospodyni wita przybywających na progu, ubrana schludnie w strój krajowy, słowa mowy proste, tak jak proste serce, oko żywe, uśmiech łagodny. Wprowadziła z zajeziornych sąsiadów do izbedki, i rada ich przy-

byciu, częstowała, czem Tworca rolniczą strzechę opatrzył.

Jednocześnie kolaska dwoma dziarskimi ciągniona siwoszami, wjechała do miasta. Strój siedzących w niej kobiet, jednej zbyt kowny, bogaty, dwóch innych skromny, gustowny. — Rozumie się, tamta jest zamężną, ostatnie jeszcze panny.

Za tą kolaską toczy się bryczka, porządna, skórą wybita i pomalowana, przykryta tureckim dywanem. Dwie kobiety z starannie osłoniętymi twarzami, i mężczyzna z szpakowatym włosiem, długim, po za brodę zwieszającym się siwym wąsem, czerstwej cery, otwartym czołem, postawą uszanowanie wrażającą. Oto jej właściciele.

Kilka innych kolasek, karabanków, bryczek i kałamaszek, mijalo się, lub w kolei jedne szły za drugimi, a

w nich tylko ujrzałbyś rumianne lica starszych, gładkie buziaczki młodszych. Dzwony jęklive, smętne, lecz uroczyste, razem wydały swe głosy, naród zgromadza się, ciśnie i zajmuje świątynie Ojca świata, każdy niesie prośbę lub dziękczynienia ukrzyżowanemu męczennikowi, hołd winny jego matce, całego siebie samego — Trójcy.

Kolaska siwemi zaprzągnięta końmi zatrzymała się również; lud rozstępuje się, zostawia drogę do przejścia, kobiety przebiegają lekko pomiędzy massami, i zajmują miejsce w pierwszej ławce, sukniem wybitej, hebanowej. Naprzeciwko tej ławki, stoi młody człowiek — sam jeden — każdy od niego odsuwa się, patrzy z ukosa, dzikim, nieublaganym wzrokiem. Nie ma on przyjaciół. Zarozumiałość, rodzona siostra głupoty,

i pycha nieodstępna ich towarzyszka, wykluczyły go z serc bratnich, a później czyny, czyny złości — pozbawiły go wszelkich praw, jakie człowiek ma u społeczeństwa. Straszny to wyrok opinii publicznej: on nie zamyka w więzieniu, nie odbiera życia, nie pozbawia dóstałków, ale obdziera z sławy, z imienia; wypędza z koła towarzyskiego, oddala liłość, pobłażanie; rzuca na winnego pogardę, otacza go ironicznemi, gorzkiemi wyrzuty, odpycha od ludzkości, zadaje śmierć długą, bolesną, drażliwą, śmierć moralną, stokroć straszniejszą nad skon fizyczno-naturalny.

Najbezczelniejszy zbrodniarz, uczuje kiedyś ciężar takiego wyroku, nie zniesie jego brzemienia. Żal uznają za nowy rodzaj obłudy; poprawę za maskę, przez którą chce wciągnąć

w małnie przewrotności, — modlitwę za słowa faryzeusza; jałmużnę za życzenie zyskania ukłonu lub przychylniej mowy, jakiej go świat pozbawił.

Człowiek, jeżeli znajdzie się w podobnym położeniu, radzę mu, albo najwyższem i nie mogącym ograniczyć się poświęceniem, przejednać świat; albo, kto nie uczuwa w sobie tyle dzielności ducha, zamknąć się, uosobnić, oddalić, skazać na dobrowolne wygnanie. Pierwszy środek życzyłbym każdemu obrać; chwytającego się ostatniego, musiałbym poczytać za bardzo nędzną istotę.

Otóż, jak wam powiedziałem, człowiek, od którego wszysej się usuwali, jeszcze był zaślepiony, jeszcze wygórowana jego mądrość nie dozwoliła mu poznać, że jest pogardzanym. Stał on z głową podnie-

sioną do góry, z wydętą jak pecherz twarzą, z przymrużonemi oczyma; — widzicie — jawny obraz głupca; w ręku trzymał dubeltowy gwoździak; możecie sobie przeto wystawić, jakie oburzenie miało obecnymi, kiedy i w dzisiejszych rozwolnionych i zepsutych czasach, podobnego fanfaronika, co to w czasie powtórzenia słów Chrystusowych z kazalnicy, miłą woń zerwanego kwiatka, zaraża brudnem tchnieniem bezecnego rozpustnika, za bardzo podłego uważają. Dobrzeby było te dwónożne zwierzątka z ksiąg ludności wykreślić, a zaliczyć .... do jakiego uznacie za użyteczny, innego rzędu historii naturalnej; może zgodzicie się na — *racire*?

Jedna tylko Karolina była tak dobrą, iż zamiast z Bogiem myślać, rozmawiała migami oczu z wyrzutkiem. Karolina ładna, bogata, dla czegoż

nie miał jej kochać Edward Zabohowski, kiedy był także kochany.

Od czasu wydarzeń z Ayeszą, Zabohowski kochał, jak się wyrażał, z *pół kopy* kobiet, ale takich, które wyplacają się wzajemnością pierwszemu lepszemu oświadczającemu im swoje zapaly, — mniemał on, że i Karolina jest im podobną; — „*kupić nie kupić, a potargować nie zawadzi*,“ myślał on, wpatrując się w złotem nabity herb Prawdzie, na ławce starosty znajdujący się, „ale bądźmy jednakże ostrożni ... z nią się nie ożenię nigdy, ... kto wie, może się zjawi potem *piękniejszy* odemnie, a wówczas obiecywać mu będzie taką przyszłość jak mnie, takie przeznaczenie, jak dzisiaj Rudolfowi; ... e! ... trzeba korzystać z chwilowego błędu; ona teraz wszystko dla mnie robi.“

Karolina tak nie myślała; w jej głowie roilo się małżeństwo drugie — z miłości. Niekiedy zastanawiała się ona nad Rudolfem. Co z nim zrobić? w kwiecie wieku, zdrów, silny; nie tak prędko umrze, ... zabić, nie można, — piekło!! — Ona tylko dla bojaźni piekła nie popełniała morderstw!! Gorszą była od Elżbiety, tej albowiem ostatniej, na odwadze nie zabrakło nigdy.

Nabożeństwo skończyło się. Karolina wyszła z kościoła prawie ostatnia. Przed świątynią stały dwie Tatarki i Szafranowicz. Wilezyńska zmieszała się, obecność ich wcale nie była jej przyjemną, schadzka z Edwardem nie mogła się udać.

Z za węgla jednego z domów, baczne oko Szczepana śledziło jej poruszenia.

— Ach, jakże się mewacie, kochane siostry, — zawołała Karolina, — gdzie się ukrywacie, nigdy nas nie chcecie odwiedzić.

— Mieszkamy w Wilnie, — odrzekła Missalla, — posłuchałam twoich rad, . . . przyjacielskich i idę za mąż . . .

— To mnie bardzo cieszy, . . . a Ayesza nie czyni podobnie?

— Nie, moje nadzieje stracone; Rudolf zginął i ja nie oddam się nikomu. Byłoby to proste oszustwo, przysięgać miłość, którejbym wcale nie czuła.

Ayesza, lubo wiedziała, iż Czekański żyje i jest Karoliny mężem, jednakże chciała ją zarumienić; nie mniemała, aby ta kobieta nie tylko wstydu pozbawioną, ale nawet zdolną była do popełnienia występku. Szafranowicz wcale nie wspo-

niał przed niemi o rozmowie, jaką miał z Rudolfem. Jakże się przeto zdziwiła Ayesza, gdy Karolina z lodowatą spokojnością odpowiedziała:

— Byćże to może, abyście nie wiedziały, że Rudolf żyje?

— Zupelnie nam obcą ta wiadomość, — prędko odparła Ayesza, — i gdzież on jest, czyliż zawsze mnie kocha jeszcze?

— O! nie bądź mi rywalką... Rudolf jest moim mężem.

— Twoim mężem! ... Karolino?

— Zdziwiał cię to. Przyznam się, że z litości oddałam mu moją rękę. Szalał za mną, kochał się do zapamiętaności; zmizerniał, pogrzydł, i, byłby pewno umarł, gdybym się nad cierpieniami jego nie *ulitowała*.

— Żałuję go, — przerwał Szafranowicz, — ale pani, co tak miłosierną

się okazałaś, mogłaś oszczędzić mu cierpień, i nie dręczyć kochającego; bo jeżeliś go nie kochała, i tylko litością się rządziłaś, to litość nie dosyć jest wczesną, kiedy ją objawiamy wówczas, gdy człowiek jej potrzebujący nad grobem stoi. Przebac mi, pani, ale powiedziałem co myślę.

— Tak to, wy mężczyźni, nie znacie serc niewieścich. To nasz tryumf, kiedy widzimy kochanka czółgającego się u nóg; zawsze jednakże przybywamy za *nadto jeszcze wcześnie*, aby go na długie nie wystawiać cierpienia. Może odwiedzić nas. Niezapraszam was dzisiaj, ojciec bardzo chory, niebezpiecznie nawet.

— Niebezpiecznie, i nie chcesz pani aby jej siostry wuja swego odwiedziły?

— Ach! srogi jesteś bardzo, panie rządzco dóbr.

— To nasz przyjaciel i opiekun z ręki ojca, — przerwała Missalla.

— Obrażacie się?

— O! nie, — zawołał Szafranowicz, — przyjaciel dla danego mu przez nieżyczliwą osobę tytułu, nigdy nie przestanie być przyjacielem. A z resztą, w rodzaju obowiązków rządzcy, nie widzę nic upodlającego.

— Zupełnie mówisz do mego przekonania, — przemówiła Karolina, — do widzenia, spodziewam się was przeto nie długo.

— Do widzenia, — klaniając się i zgrzytając zębami, odpowiedział Szafranowicz.

— Jaka czelna.

— Nie tak bądź surową w sądzie-  
niu, — przerwała mowę siostry Aye-  
sza. — Rudolf ją kochał... no, pra-

wda, że trochę złośliwa, na co się bowiem przyda męczyć człowieka, kiedy prędzej czy później, z miłości lub bez niej, gotowe jesteśmy zostać jego żoną.

— Podła, — krzyknął Szafranowicz, niezdolny ukryć swego uniesienia, — a nie strofujcie mnie za ten obmierzły wyraz; czas okaże, żem go właściwie zastosował.

— Uspokój się, opiekunie, przyjacielu nasz.

— Nie gniewaj się tak mocno, gniew może twemu zaszkodzić zdrowiu; a masz przecież z nas dobre, posłuszne i kochające cię córki.

— O! wy jesteście aniołkami, ale wasza siostra, to jedza z dna piekła; znam ją i wiem co mówię.

— Zapomnijmy o niej .... Więc nasza biedna warjotka odzyskała rozum?

— Zupełnie. Jednak gdym wrócił z Wilna, zastałem ją bardzo słabą.

— Mój Boże, co za nieszczęście, byłybyśmy mogły dowiedzieć się o jej rodzinie.

— Dowiemy się, ale cierpliwości... cierpliwości trochę, moje panny, wszystko będzie dobrze;... pójdzie jak z płatka.

Bryczka ruszyła z miejsca, woźnica cmuknął, żmudziaki kopnęły z kopyta.

W pół godziny z miejsca schadzki wyjechał Edward. Myśl, która go uderzyła w kościele, rozwijała się coraz bardziej: — Nie, nie, nie ożenie się z nią; zbałamucić, cóż mnie szkodzi... a mogę korzystać, tak namiętna kobieta, będę mógł nie mało z niej wyssać.

Jęździec przeminął go; pędził czwale, koń jesiennym błotem obryzgał

umuskaną twarzyczkę łotra. Edzio rozgniewał się, ale widział jeźdźca starego, siwego, a to zwykle dzielni rębacze, nie upomniął się przeto za obelgę, którą końskie kopyto mu wyrządziło, i wrócił do swoich myśli, coraz więcej nabierających wartości i kołyszących go w raju marzeń.

Nad wieczorem odpłynęła także z Trok barka z trzema mężczyznami. Kwiaty, które przywieźli, ozdobiły dnia tego wszystkie ołtarze świątyni.

Rudolf nieodstępnie znajdował się przy staroście; polegał zupełnie na Szczepanie, a tymczasem wszelkich dokładał starań dla przedłużenia życia swemu teściowi.

— Mój Rudolfie, jesteś poczciwym człowiekiem, — mówił Wilczyński, gdy córki odjechały do Trok, — po mojej śmierci nie mężem tylko Karoliny, ale i ojcem dla jej siostr masz zostać. W to-

bie ufam, znam twoje szlachetne zasady, twój nieugięty charakter, ale znam także i słabości; za nadto powolnym jesteś wymaganiom żony... mąż żonie rozkazywać, żona mężem rządzić nie mają prawa, ... powinna być harmonijna zgodność, pobłażanie wzajemne, ale nigdy pobłażanie złemu. Przekonaj się na mojej osobie. Najszczęśliwszy byłem w związku małżeńskim, ale pierworodne dziecko, Karolinę, twoją żonę, z słabością kochałem, jej chęci były nawet dla mnie rozkazami: ... jej wola była świętą. ... Błądziłem... przyzwyczaiłem się do tego, wciągnęło się to w nałóg, i przyznam ci się, Karolina nie jest tak dobrą jak jej siostry, które tylko po rodzicielsku kochałem, po ojcowsku; bez psujących duszę pieszczot wychowałem. Do ciebie należy teraz błąd mój poprawić, a poprawisz, je-

zliś prawdziwy mój przyjaciel, dobry syn.

— Ojcie, będę się starał, zaklinam się na popioły mojej matki.

— Dosyć słowa. W twoje ręce powierzam testament, żadne z dzieci moich nie skrzywdzone. Masz być jego wykonawcą. A teraz podaj mi szklankę wody, źle ze mną, słabo.... wiesz ty Rudolffie, że od dnia przechadzki, w czasie której wszyscy spostrzegaliśmy cień za kopcem, *niespokojnym*. Tyś chciał pójść, Szczepan także .... jedna tylko Karolina nie zezwoliła na to... *niespokojnym*, za długo spałem... ufałem każdemu, bom nikogo nigdy nie zdradził... Rudolffie, wspólnie cierpiemy, ja tej nocy nie spałem, i tyś nie zgniótł swego łoża. Wiem o tém!!.. Boli, bardzo boli;... a ty jesteś tak dobry, tak czuły, poświęcający się.

— Ojcze, nie rozumiem.

— Rudolfie, chcesz mnie oszczędzać, twoja spokojność udana; oko ojca potrafi rozróżnić wesołość i cierpienia! Dzisiaj niedziela, prawda synu,... tyś został przy mnie, bośmy obadwaj moralni męczennicy.... Słuchaj, — silniejszym przemówił głosem starosta, podnosząc głowę z poduszki, — Buczys to mój brat;... dobry człowiek, ale chciał własną dłoń, jedną, słabą, przekształcić cały świat, poprawić go! i obląkał się!! On mój brat... on mieszka w chacie nad jeziorem, w tym miejscu, gdzie dawniej węglarz miał siedzibę. Jeżeli będziesz potrzebował pomocy, powiedz Buczysowi, nie odmówi ci... tu jego cząstka, w tej skrzynce; oddać mu ją należy;... a w tym pudełeczku pamiątki i ślubne upominki dla córek Tatara, Gabrijela Sulejmana, mego szwagra.... Nieza-

ponniałem także o Szczepanie i Bartłomieju. Rudolfie bądź wytrwałym, zniewieściałym może być tylko próżniak, ulicznik, fanfaronik; żołnierz i dobry obywatel — nigdy.

— Lepiej mnie się zrobiło. Otworzyłem przed tobą, przed drugim sobą, tajniki mego serca. Będziemy razem cierpieć, płakać;... a będziemy także razem się cieszyć, jeśli dobry Bóg wesprzeć nas raczy. Synu mój, kochany Rudolfie, jakże jest wszystko niepewném na świecie. Kochamy czasem skrytobójcę, potępiamy niewinnego, wygłaszamy cnotę oszusta, potwarcy;... a czynów bratniej dłoni często nawet nie widzimy.

— Ojczy, za wiele mówisz, wzruszenie bardziej cię osłabi, a sam jesteś przekonany, ile życie twoje jest nam drogiem.

— Tylko nie Karolinie.

Starosta przestał mówić, Rudolf siedział milczący, Bartłomiej w przedpokoju wychylił kielich kminkówki, i przewracał pogrzebaczem w wypalającym się piecu. — Karolina weszła do pokojów, humor był u *damy* zły, nie rzuciła nawet wzrokiem na starego sługę, przeszła aż do pokoju starosty, i zapytała:

— I cóż, ojciec?

— Zdrowszy, — odpowiedział Czekanowski.

Niechęć wyraźniej jeszcze wypiętnowała się na czole starościanki; — wyszła i wodze gniewu puściła na kucharkę, na Bartłomieja, na przybyłego w tej chwili z Trok Szczepana, który, ujął się za boki, śmiałym wzrokiem popatrzył woczy pięknego oblicza złościcy, szyderczo się rozśmiał, i zawołał:

— Dalibóg służę tylko u starosty; a jeżeli go Bóg zbierze, nie myślę tu godziny zostać.

— Ty, stary lotrze,—wykrzeknęła w zapamiętaniu Karolina,—jak śmiesz podobnie do mnie przemawiać.

— Stary Szczepan wie jak i do kogo mówić.

— A to niegodziwiec, możnaż większej doświadczać zuchwałości... od sługi.

— Który ciebie, pani, wypiastował. Zaiste, warto go powiesić, że ojcu do śmierci chce wiernie służyć.

— O! poczekaj, .....

I nagle, jakby jej słów zabrakło, Karolina zacięła się, pobladła, ziając tchnieniem i oczyma przewróconemi spozierając do koła.

Rudolf usłyszawszy hałas, wyszedł prosząc Karolinę, aby przez wzgląd na ojca, uspokoić się chciała.

— Pojadę po obiedzie do państwa M<sup>re</sup>.

— Dobrze, kochana Karusiu.

— Nie, pojadę zaraz.

-- Cóż tak pilnego?

— Tak chcę.

Rudolf odszedł i polecił Bartłomiejowi, rozkazać, iżby nikt koni nawet z stajni nie považał się wyprowadzać.

Karolina również przywołać kazała Bartłomieja.

— Natychmiast zaprządz do kolański ... cztery gniade.

— Zakazano.

— Co?

— Pan niepozwolił ganiać na próżno koni.

— Jaki pan?

— Mąż jejmości.

— Rudolf, on, żebrak trocki, śmiałyby podobne wydawać rozkazy; he!!

Karolina prawie bezprzytomna wbiegła do pokoju, w którym chory jej ojciec i Rudolf znajdowali się. Nie zważając na nic, przyskoczyła do Rudolfa z zaciśniętymi pięściami, iskrzącym wzrokiem, wzdętą piersią.

— T ... t ... ty, —zaledwie mogła przemówić. — niedołego, żebraku, wyciągnięty z zgniłej jamy; precz z mego domu ... precz.

— Karolino, zważaj co mówisz, twój ojciec chory,... krzykami swemi nie dobijaj go.

— O łakomcze, łasisz się, ażeby uwieść starego, pragnie ci się zapisu na rzecz twoją.

— Mylisz się, kochanie, testament już sporządzony, a wola naszego ojca, mnie wykonawcą jego postanowiła.

— Testament sporządzony....

Starosta przebudził się i cierpliwie słuchał, nakoniec przerwał rozmowę małżonków:

— Rudolfie, — rzekł odwracając się na pokój, — podaj mi testament, zapomniałem o tobie, moja Karolina przypomniała o tém.

— Jakto ojcie, tybys chciał skrzywdzić twoje dzieci?

— Nie, droga moja córko, ja myśle tylko część na ciebie przypadającą, pomiędzy was oboje na poly podzielić.

— Ależ ojcie, ja sama tylko mam prawo własnością moją rozporządzać.

— Zaczny panie, spokojność jest konieczną dla twego zdrowia, chciej ją zachować... Rozdział twego majątku jest zawczesny, żyć będziesz długo.

— Mój ojciec, chciałam pojechać do państwa M\*\*, a Rudolf nie pozwolił na to.

— Wypełnił tylko moją wolę.

Karolina płakała; płakała z żalu, złości, z nienawiści. Mąż, ojciec, siostry, wszystkich potępiłaby. — Upokorzenie doznane, doznane w obec służących, ubodło ją tak silnie, że zemsta zawrzała w jej piersiach — zemsta bez wyboru ofiar.

Dzień przeszedł w smutku, w milczeniu; rozpalono świece, Rudolf, Zuzanna i Julja, nieodstępnie znajdowali się przy starości, jedna tylko Karolina oddaliła się do swego gabinetu. Głowa ją bolała, zimno przejmowało członki, myśli rozproszyły się, przekleństwo po kilkakroć skalalo jej wargi! wszystko ją gniewało, dręczyło, widziała obalone swoje nadzieje owładnięcia całym majątkiem. — Ale Ru-

dolf mógł to naprawić, w jego rękę testament, żalowała swojej popędliwości. Obraz rzeczy przybierał inne barwy, Karolina gotową była przywdziać, raczej zmienić sukienkę swojej przewrotności, wybiegów.

Zadzwonila. Panna służąca weszła.

— Słabam, poproś mego męża.

W chwil kilka przybył Rudolf, zawsze dobry, zawsze cierpliwy.

— Jestem chora, Rudolfie, ... ojciec jak się miewa?

— Jednostajnie.

— Obawiam się, aby dzień dzisiejszy nie wywarł na niego złych skutków.

— Niepodobna go cofnąć.

— Złe postąpiłam...moja żywość zgubi mego kochanego ojca.— Karolina załala się łzami.

— O, nie oszukasz mnie,— pomyślał Rudolf.

— Ja pójdę do ojca, przeproszę go.

— Mogłby silniejszym uledez wrażeniom, a krom tego zasnął.

— Rudolfie, nie odchodź zład, jakaś bojaźń mnie opanowywa. — Karolina trzymała za rękę Rudolfa, pociągnęła go ku sobie i zniewoliła tem, że usiadł przy niej.

— Ja bardzo występna, mężu.

— Możesz się jeszcze poprawić.

— O, już nie będę taką złośnicą, będę posłuszną córką i dobrą żoną.

Rudolf zacisnął usta.

— Mój mężu, czy mnie kochasz jeszcze? ...ja wiem, że nie zasługuję na to z twojej strony uczucie, ale tyś dobry, przebaczysz moje błędy; ...odzyskam twoje serce?

Czekanowski milczał.

— Rudolfie, możeszli tak długo na Karolinę być zagniewanym, ... pozbawiać mnie na zawsze mojego szczęścia, moich ideałów?

— Ideały mogą być zastąpione przez nowe twory wyobraźni.

— Okrutny! dzisiaj odmawiasz mi nawet litości!!

Serce męża zachwiała się. Głos Karoliny był zgorączkowany, oczy czerwone, suche, dłonie palące; — kobieta ta, która zawsze była tylko rozkazującą, unıza się, prosi, błaga o litość; — a ta kobieta jest piękną, bolejącą, jej domowy ubiór w nieladzie, rozrzucony, pukle czarnych włosów wiją się około śnieżystej szyi, łono, od pośpiesznego bicia serca, drży; niespokojne, żywe poruszenia odsłaniają gors!! — Któryż filozof oprze się w takim razie kobiecie, trzeba być albo umarłym, albo posągiem z ka-

mienia, bez krwi, bez serca, bez  
uczuć.

Rudolf uściskał Karolinę, a ta zrę-  
czniej jeszcze zaczęła odgrywać swo-  
ją rolę.

— To ty mnie kochasz? — zawo-  
łała wyciągając białe swe ramiona na  
przyjęcie męża, — ty mnie kochasz  
Rudolfie, ... ty już mnie nigdy nie uka-  
rzesz tak srogo ... o! bobym nie znie-  
sła, umarłabym ... co każesz, zrobię;  
niedbam o majątek, o nic w świecie,  
będę pracować razem z tobą ... ale ty  
będziesz mnie kochać? — I Karolina  
przycisnęła głowę Rudolfa do pul-  
chnych, gorących piersi. Odpowie-  
działże kiedy mężczyzna w podobném  
położeniu znajdujący się: *nie?*

— Ty mnie nieopuścisz nigdy, Ru-  
dolfie, nie będziesz kochać innej, ...  
to mnie ciągle dręczy, zmiłuj się, za-  
pewnij mię o twojem sercu. — Karo-

lina zerwała się nagle z łóżka, uklę-  
kła, i uderzyła czołem o podłogę: — Wi-  
dzisz, ty mój półbożku, mojej zazdro-  
ści nie ma granic... ja twoje myśli na-  
wet śledziłam. Kochaj mnie, kochaj,  
tylko w tém niech będzie moja wola,  
ja tak *chcę*, tylko w tém jednym mu-  
sisz mi uleść; ... dobrze, ... Rudol-  
fie...? najdroższy mężu, luby kochan-  
ku, cało nadziejo mojej przyszłości.

W czasie tych wyrazów Czekanow-  
ski podniósł z ziemi żonę i posadził ją  
na łóżku. Ona oparła głowę o jego  
ramię, otoczyła ręką jego szyję, wglę-  
biła oko w oblicze. Oddech gorący  
Karoliny, oblewał cały prawy policzek  
Rudolfa, obwiewał jego włosy, wdzie-  
rał się w jego piersi.

O! kobiety! ileż sposobów w wa-  
szych rękach do pokonania męż-  
czyzn. Narzekacie na ich niestałość,  
na zmienność uczuć; sameście temu

winny. Chciejcie tylko rozwinąć naturalną waszą moc, a nie zdoła oprzeć się wam nawet poeta. Właśnie wy, co tyle marzycie, co tak fantastyczne utwarzacie obrazy, wy najprędzej zdobyć możecie serce poety, — o innych nie mówię, — nie masz bowiem niestalszego w świecie serca, nad serce poety; jeśli przeto i tём możecie władać przez środki w waszej mocy będące, jakże możecie narzekać na mężczyzn, na ich niestałość. — W waszej niebaczności, źródło waszych trosk.

Rudolf opuszczając swą żonę, myślał:

— Niepodobna; mogła błdzić, ale było tylko szak; nastęczał się jej, nasuwał, i biedna kobiecina zbłądziła, ... rozumiem, to było powodem wszystkich jej kaprysów, ... no! przecież może zawita spokojność, ale co za żywóć uczuć, jakie oczy, jaka mowa,

nie dziwić się bynajmniej, że Edward serdecznie się w nią pokochał!

Skoro Rudolf wyszedł, Karolina mówić zaczęła:

— Tyś go ścisłała, całowała, wroga, ...nie, Edwardzie, toś ty był w moich objęciach, ty, moja istności, raju mojej duszy, kwiecie nieba, zorzo jasnego dnia, arko chroniąca Noego od potopu, ogniu westalek. Zabohowski, jakież to urocze nazwisko, dam ci za nie dobra, pieniądze, powozy, tłum służących, wystawne stoły, siebie samą... czy za wiele mu daję? o! nie...gotowam ci dać ojca, siostry, męża!!... O! kobiety, wy nieumiałyście kochać, nie pojmujecie co to kochanek, ...ja na klęczkach pójdę do niego, bosą po kolcach ciernia zdążać będę pod jego dachy. Co wstyd,

sława, puste słowa... dziwaczne, odrzucam je, dla Edwarda nie ma ofiary, którejbym nie uczyniła.

\*

Tydzień upłynął. Starosta wsparty na rękę Rudolfa, wolno przechadzał się po pokoju, Karolina siedziała przy oknie i czytała pismo święte. Mąż i ojciec cieszyli się z szczęśliwej zmiany i radośnie spoglądali na siebie.

Na dworze niepogoda. Śnieg zmieszany z deszczem pada obficie. Bryczka zaszła przed ganek, Missalla z Szafranowiczem przybyła odwiedzić swego wuja.

Rudolf poskoczył ku wchodzącym, nie mógł w otwartości ducha, ukryć swoich uczuć, ale Karolina zbliżyła się do niego, i szepnęła w ucho:

— Zaręczona. Niewolno.

— Ach! jakże jesteś podejrzliwą.

— Z tćm wszystkićm, mój drogi, nie tak blisko.

— Karolino, zastanów się, co mówisz?

— Nie kochasz?

— Ale kocham, kocham ciebie; co to za zazdrosna kobieta.

— Zazdrosna, ma się rozumieć; pamiętaj, abym nie była w konieczności powtarzać ci słów moich.

— Dobrze, moja duszko.

— Kochanie serca mego, dzięki ci za obietnicę, ... potem dam ci za to buziaka.

Rozmowa ta prędko była prowadzoną, tak, że goście witający się pod ten czas z starostą, i z troskliwością o zdrowie jego wypytujący się, wcale na małżonków nie mieli czasu zwrócić swojej uwagi.

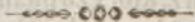
Missalla, a rzeczywiście Marja Sulejman, wdała się następnie w roz-

mowę z Karoliną. Rudolf słysząc  
 wtrącane w nią cierpkie wyrazy, kil-  
 ka razy miał zamiar powiedzieć Sza-  
 franowiczowi, aby oszczędzał jego żo-  
 nę, ale sposobności nie było, i goście  
 żegnając się, nieuwozili z sobą inne-  
 go przekonania, nad to zjakiem przy-  
 byli.— Oni nie patrzali przez szkło  
 okopcone, owszém natężali wszystkie  
 swe zmysły, aby najdokładniej pojąć  
 i zrozumieć mogli myśli Karoliny, i  
 zrozumieli je.

Z każdym dniem zima rozpoście-  
 rała swe panowanie, a lubo powie-  
 trze wcale nie było sprzyjajacém dla  
 słabego, jednakże siły widocznie wra-  
 cały staroście. Rudolf przebaczył tak-  
 że z serca Karolinie i zupełnie ufał  
 w jej miłość, w jej poprawę, wów-  
 czas, kiedy ona zajmowała się wy-  
 najdywaniem środków do pozbycia się  
 jego.— Trudności jednakże były nie

do pokonania, nikt prawie nie był jej w domu przychylnym, bo pamięć srogiego obchodzenia się tkwiła w umysłach, a Szczepan nie przestawał śledzić jej kroków, i gotów był chwycić się ostateczności, byle tylko ocalić starostę i jego zięcia, obódwóch towarzyszy żołnierskich jego wypraw.

Edward, nie mogąc zbliżyć się do Karoliny, zaprzestał o niej myśleć, a nawet żałował poprzednich swoich z nią związków, które, lubo mniemał być pokrytemi tajemnicą, uważał za dziwaczne, bo jego żądzom nie dostateczne.



# KARCZMARZ.

**D**zień pierwszego stycznia.

Przedpokój starosty napelniony ludem.

Karczmarz, który za pieniądze przed kilku laty obiecywał wierną służbę Darwerdowi, przybrany w świąteczny chałat, rozpycha wieśniaków i tłoczy się naprzód. On chce złożyć także powinszowanie, i zaraz prosić o przedłużenie dzierżawnego kontraktu; prze-

biegły człowiek, chytry, chciwy, nie ruszy nogą żeby nie korzystać.

Jeszcze starosta nie wstał z łóżka, Rudolf był pierwszym, który mu złożył życzenia, za nim Szczepan z Bartłomiejem, zbiorom prostych lecz z serca płynących wyrazów, wynurzyli swe uczucia. Córkę starosty spały, ale nie wszystkie. Karolina noc całą oka nie zmrużyła, wyrzucała sobie że czas traci. Uganiała się za zwodniczą marą, a porzucała rzeczywistość, mogącą jej rzetelnie zapewnić szczęście.

I Rudolf noc tę niespokojnie przepędził. Obraz Ayeszy przedstawiał się mu ciągle, a widział ją łagodną, wyrozumiałą i szczerze kochającą; wyrzekającą się dla niego świata, przyszłości, nadziei. — Przy tem wszystkiem, przypomniawszy schadzkę Karoliny z Edwardem, jej obietnice

czynione ostatniemu, i znowu wątpliwość obudziła się w jego duszy. Ale Czekanowski zna świętość swoich obowiązków, nie zapomni o nich nigdy, do śmierci.— Czuje, że kocha Ayeszę, lecz właśnie dla tej miłości czystej, wzniosłej, niebieskiej, nie opuści, nie zdradzi żony, chociażby ta czyhała nawet na jego życie.

Ayesza również jest mu wzajemną. Jednakże, gdyby Rudolf przybiegł do niej z objawieniem uczuć, dziewica, lubo nie wyparłaby się swoich, wszelako nigdyby korzystać nie chciała. Owszem, starałaby się ona uzbroić duszę kochanka w cierpliwość, wytrwałość, przypomniałaby jego stosunki, powinności, obowiązki; natchnęłaby go nową siłą charakteru, poprowadziłaby go przez manowiec, i wskazała drogę — prawdy, cnoty.

Wierzcie mi, że szkic ten nie zide-

ału wzięty. Są w świecie naszym podobnie myślące, podobnie postępujące kobiety. — Może je świat kiedy pozna, a wtenczas... niech sądzi. — Porywczy sąd zazwyczaj niesprawiedliwy, a człowiek nigdy sromotnym tym czynem nie powinienby się zmaczać.

Karolina z trudnością zwlekła się z łóżka. Bezsensowność uczyniła ją ociężałą, powolną. — Zbladła, oczy zapadły, niechęć ogólna opanowała jej myśli, krokiem wolnym, czołgając stopami, przechadzała się po pokoju. — Nie śmiała podnieść oczu na obraz Marji Dziewicy, spojrzeć na ukrzyżowanego zbawcę, na Chrystusa!! — Walka uczuć miotłała ją okropnie. Raz religja i moralność, to znowu żądze i namiętności, przeważały szalę zwycięstwa!! — Nakoniec, здавало się, że kazała zamilknąć na

chwilę wszelkim wzruszeniom, albowiem słaby uśmiech przebiegł po ustach, a twarz okryła się lekkim rumieńcem. Karolina przywołała służącą, i zapytała, czy ojciec wstał.

— Nie, pan jeszcze leży w łóżku, a mnóstwo wieśniaków, oficjalistów, młynarz, karczmarz, pachciarz, wszystko to czeka.

— Ach! to Nowy Rok, prawda; zaczekaj. — Karolina wyjęła z małej szkatulki złotą monetę i tę dała służącej.

Hojność dotąd nie doświadczana, zadziwiła mocno wiejską dziewczynę; przybywszy zatem do dworskich stacji, wychwalała dobroć *młodej pani*.

Dwie inne, każda z osobna, udały się do Karoliny, obie otrzymały także jak pierwsza podarki; a wkrótce w przedpokoju czekający wiedzieli

już o tem,...młynarz chciał korzystać, poszedł także, — młynarz był poczciwy, gospodarny człowiek, ojciec wielu dzieci. Karolina obdarzyła go dwoma dukatami i sztukę płótna wydać poleciła.

Karczmarz, na widok złota zadrżał, nie czekał na starostę, pobiegł do jego córki.

— Dziękuję ci za dobre życzenia, — odpowiedziała Karolina, — w każdym razie, jeżeli będziesz potrzebował mojej pomocy lub wdania się, przyjdź do mnie.

To był dla karczmarza noworoczny upominek, ale żyd wolał współdziałanie Karoliny, aniżeli dwie lub trzy sztuki złota.

. . . . .

Dzień cały na dworze starosty brzęczyły dzwonki. Sąsiedzi z nowym rokiem przybywali winszować mu po-

wrotu do zdrowia. Karol Wilczyński chodził już o swojej sile, był wesół, rad gościom, przyjmował ich wystawnie, po staremu.

Wieczorem grzmiała z Wilna sprowadzona kapela, szedł naprzód przyjęty od wszystkich narodów polski nasz taniec, a za nim hoży mazur, rzezki krakowiak. Tak, i dawniej umiano się bawić, nie tak wymuszenie, etykietałnie, dworsko, — ale wesoło, szczerze, otwarcie, po ludzku, *po naszymu*. Opleśniałe butelki wnosił Bartłomiej, a za nim trzech hajduków roznosiło ciasta, cukry i chłodniki dla dam.

Milo to patrzeć na dobrane zgromadzenie, z pośród którego nie wypłynie plotka, nie zrodzi się potwarz, nie wywiąże niezgoda. Starajmy się każde uczynić takim, od nas samych to zależy.

W późną dopiero noc goście zaczęli się rozjeżdżać. Byli jednakże tacy, którzy pozostali, a tych i w następnym i po nim idącym dniu, starosta z domu swego nie wypuścił.

Te braterskie wylania uczuć, wśród uciech swobodnej zabawy, powróciły spokojność umysłu Rudolfowi. Myśli smutne, w wilgą nowego roku dręczące duszę jego, znikły zupełnie, a zaufanie z jego strony było zapłatą za uprzejme i przychylne postępowanie Karoliny. Rzeczywiście żona Czekańskiego, miała pewne powody weselenia się, a ukontentowanie, jakim sama przepelnioną była, wywierało pomyślny wpływ na jej stosunki z mężem.

Mało się zważa w czasie zabawy na przybywających do salonu. Ileż to było wypadków, że nieproszony gość zawitał, przejrzał, a potem —

wyplatał sztukę. Każdy jest zajęty, przedmiot jakiś, bardziej aniżeli powszechnie zajmujący, zwraca ku sobie wejrzenia; rozmowy nie codzienne, większej wymagają uwagi lub bardziej nas interesują; słowem jedném, przy gwarze rozpraw, tańcach, muzyce, pułharze, nie mamy czasu być baczniymi, przenikliwymi. Potrzeba wielkiego doświadczenia złązonego z przewidywaniem wielkich niebezpieczeństw, aby inaczej postępować, aby się wznieść nad sferę tych, z którymi obcujemy; a lubo wtenczas w wirze weselących się sami tylko jesteśmy, opuszczeni, zapomnieni, wszelako często bardzo na złe nam to nie wychodzi.

Karolina korzystała z zamieszania i z przybycia karczmarza, chcącego już użytkować z danój mu obietnicy, wprowadziła go do swego pokoju, i

tam długo rozmawiała. Szczegółów rozmowy ich nie wiemy, jednakże objaśnić możemy, że żyd miał zapewnioną dzierżawę owocowego ogrodu pod bardzo korzystnymi warunkami, Karolina zaś pozyskała gotowego na wszystko służalca.

Nawet orli wzrok Szczepana nie dosięgnął tajemniczych tych układów, a gdy Karolina, w święto Trzech Króli przybyła z mężem i ojcem do Trok, Edward Zabołowski znajdował się także w świątyni. Jedno spojrzenie było dlań dostatecznóm, bo to wejście jawnie przekonywało, że paroxyzm miłości w takim jest stopniu u Karoliny, z jakiego zazwyczaj podli powziąć mogą nadzieję zyskania wszystkiego, a potem wystawienia na żareki sławy kobiety, która im bezwarunkowo poświęca się.

W kościele były także córki Sulejmana. One jedne z Szafranowiczem na przemian, śledziły najmniejsze ruchy dwóch wziętych pod uwagę osób.— Ale wszystkie te trzy osoby, już świadome zamiarów Karoliny, (gdyż o takowych po powrocie od starosty Missalli z Szafranowiczem, ten ostatni opowiedział), zachowywały się nader ostrożnie, i nie ściągnęły najmniejszego podejrzenia Karoliny, ani też niecnego jej ulubieńca.

Tymczasem usłużny żydek utrzymywał piśmienne związki dwojga kochanków. Znał on dobrze ważność przysługi jaką czynił, i był pewnym sowitej nagrody.

Wiosna tchnęła czystym zefirem i przywołała bladą twarz słońca do jaśniejszego blasku; natura odziewała się w zieloną barwę, serce Karoliny biło żywiej, radośniej, Edwarda

niespokojniej, namiętniej. Karczmarz zarządzał ogrodem, jego strażnicy osiedli ogrodnicze budki; drzewa zagajają się, wszystko pomyślnem jest dla życzeń Karoliny. Jej mąż i ojciec obsypują ją dowodami przywiązania, ona wypłaca się im wzajemnością, a wewnątrz knuje zamia-ry, przysposabia zemstę.

Ale Szafranowicz nie zasypia, Szczepan czuwa, Elżbieta w niepogodne noce biegnie do kaplicy, modli się na jej progach i czeka na Buczysa. Buczys pomoże, myśli sobie, on będzie puklerzem, który zasłoni nieszczęśliwą rodzinę od hańby, on będzie opoką, o którą rozbije się nawa złych skłonności i usposobień.

Ciemno. Deszcz drobny mrzy, ani jedna gwiazdka nie błyszczy na widnokręgu, jednoreka kobieta klęczy przy obłamku muru, i tę jedną rękę,

suchą, wynędzniałą, wyciąga do nieba, i wznosi oczy do pomroczonego firmamentu; łzami skrapia wilgotne łożę swojej ofiary.

Z pośród krzaków daje się słyszeć odgłos stapań, urywane słowa, cicho wyrzeczone. Elżbieta podnosi się, nadstawia ucha, przysłuchuje i kryje się za drzewo.

Trzech ludzi stanęło u podwoi.

— Kirlik, pamiętasz szlacheica?

— Ach! nie trzeba mi go przypominać; byłem obłąkany, a kto temu był winien jeżeli nie ludzie. Wypchnęli mnie z siola, wygnali na mróz, głodnego, prawie nagiego. Tulacz, sierota, jak dziki zwierz obawiałem się zbliżyć do ludzkich mieszkań, uciekałem nawet z tropu śladów człowieka, bo pogrożono mi, wydartszy po rodzicach mienie, śmiercią; a instykt zwierzęcy wzbudzał we mnie

pragnienie życia. Biedny, mały, dziecko prawie, bez chleba, bez odzieży i obuwia, odtrącony od serc, nie widząc nigdzie przyjaznej, litościwej dłoni, znienawidziłem świat, a nasienie nienawiści wydaje owoc zemsty!

— Idźmy do kaplicy.

— Poczekajcie, chcieliście zawsze dowiedzieć się historii mego życia, a kiedy odważyłem się zacząć ją opowiadać, słuchać nie chcecie;... nie długo skończę.

— Słuchamy.

Deszcz ustał. — Przybyłcy usiedli na odłamku, przy którym klęczała była Elżbieta.

— Nie miałem więcej nad piętnaście lat. ... Kilka dni błąkałem się... potem skuliłem się i usiadłem u drzwi chaty. Kobieta jakaś wyszła z niej nadedułem, i prawie zmarzłego już wprowadziła do izdebki. Zachoro-

wałem. Moja opiekunka leczyła mnie, uważałem że nie raz pozbawiała się pokarmu, aby mnie tylko zasilić ... poczciwa kobieta, ratowała każdego kto do niej przyszedł po radę, a za to uczczono ją czarownicą. Lepszego godną była losu biedna Meda.

— Przykro mi było, że stałem się przyczyną ciężaru staruszki, a przytém, wrzała w duszy mojej chęć zemsty. Skoro tylko wyzdrowiałem, nie nie mówiąc, opuściłem gościnną strzechę. Po sześciomiesięcznej chorobie świat zdawał mi się innym, natura poważniejszą. Widziałem ogrody, drzewa obciążone owocami, przypomniałem domek rodzicielski, i wściekła rozpacz mnie ogarnęła. — Nazbierałem jagód i sprzedałem je; miałem kilka groszy, kupiłem chleba i mleka, o! jakże smaczny miałem obiad; na drugi dzień

mogłem podobny sobie wyprawić, ale na trzeci już nie było nadziei.

— Poszedłem na oślepi i zobaczyłem pierwszy raz wielkie miasto... Wilno. Na wzgórzach mnóstwo było jagód, najadłem się i położyłem pod krzakami spać. Gdy się obudziłem, spostrzegłem siedzącego około mnie człowieka... tym człowiekiem był Kaziulis. Nędza moja wzruszyła go, na żądanie opowiedziałem mu przyczynę przez jaką wtrącony w niedolę, nie spodziewałem się nigdy być szczęśliwym. Wyjął z kieszeni i dał mi nóż, długi, ostry, lśniący.— W lesie można tylko być szczęśliwym; dopóki byłem pomiędzy ludźmi, kołatała mną nędza, poszedłem w las i mam pieniądze,— rzekł mi, a ja chwyciłem się słów jego i obiecałem zawsze być z nim.— Pierwsze morderstwo dokonałem na moim opiekunie. Krew, nadzwyczaj-

ne zrobiła na umyśle i sercu moim wrażenie. Chciałem porzucić mego przyjaciela, ale on przedstawił mi obraz więzienia, szubienicy, i pozostałem przy nim. Kaziulis nie zasługiwał aby poledz pod Giwokorami; jemu właściwie należał stryczek.

—W kilka lat tej włóczęgi spotkaliśmy się z wami i połączyliśmy się. Otoż i koniec, a teraz pójdźmy żałować za grzechy.

Otworzyli drzwi kaplicy, rozpalili światło, podnieśli kamień grobowy i zeszli po wschodach. Elżbieta weszła do kaplicy.

Buczys i jego towarzysze odmawiali litanją za zmarłych. Elżbieta powtarzała: *zmiłuj się nad duszami wiernymi zmarłemi*, lub innych w miarę potrzeby używała wyrazów, powoli spuszczaając się w wnętrze grobu.

... Modlitwa skończyła się. Bucys powstał, cofnął się i zawołał.

— A ty zkad, Elźbielo?

— Z Boga i przez moc Boga tu jestem.

— Tyś zakonnica.

— Lecz nie w klasztorze; ja jestem zakonnicą, a obwód całego świata, to mury mego klasztoru.

— Opuściłaś klasztor, a gdzież twoje słowo, przysięga?

— Mógłżeś wierzyć moim przysięgom, z pomniatżeś o moich czynach?

— Aleś ty mnie przysięgła, zakłęłaś się na miłość, na zwłoki Marji.

— I nie złamałam przysięgi, posłuchaj. Wrócę do klasztoru, ale potrzebuję twojej pomocy; nie dla siebie, lecz dla twego brata.

— Dla Karola?

— Tak.

— Nie zdaje mi się, aby on potrzebował pomocy.

— A jednak tak jest. Jutro albo i dzisiaj, jeżeli tylko zechcesz pozostać ze mną na osobności, opowiem ci,— i — lecz potem.

Czywas i Kirlik udali się na górę, do kaplicy; Elżbieta z Buczysem pozostała w grobie, i tu mu wykryła zabiegi Karoliny, stosunki rodzinne jakie go wiążą z Tatarkami i położenie Rudolfa. Buczys z zimną krwią wysłuchał straszliwej powieści, westchnął, przeszedł się dwa razy po szczupłym siedlisku zmarłych, a potem, nagle stanąwszy przed Elżbietą, zapytał:

— Kto temu winien?

— W połowie ja, — odpowiedziała Elżbieta, — lecz nie Buczys powinienby wyrzucił mi czynić... patrz,... mam tylko jedną rękę, a niedawno ośląkaną byłem, nie dozwoliszże mi nawet pokutować?

— Elżbieto! gdzież tak okropnemu uległaś kalectwu?

— W Giwokorskiej bitwie, przy trupie twego wiernego sługi Wiecha. Mniemałam, że gdy on poległ i ty nie zostałeś żywym — narażałam się, i ranioną zostałam wtenczas, gdy moc wzruszeń odjęła mi siłę umysłu.

— To ci córki Sulejmana przytulek dały?

— Nie tylko schronienie ale i najczulszą opiekę. Wcale nie podobne do Karoliny.

— Bo to dzieci mojej kochanej Klary; mój Boże, Elżbieto, jak to nasza rodzina rozproszona, rozbita?

— Ja, ... cierpię za was wszystkich, zasłużyłam na te męczarnie świata, i nie ma dla mnie nadziei ani tu ... ani tam, — rzekła Elżbieta, palcem wskazując do nieba. — tu,

nie mam Ludwika, tam nie będzie dla mnie nieba.

— Jeszcze nie pokonałaś namiętności, powinnaś i w tym razie okazać siłę, jaką zawsze rządzić się umiałaś.

— Prawda, nie pojmowałam wyrazu *niepodobna, nie można*, lecz dzisiaj tego nie powiem. Wszelkim moim chęciom nie się nie oparło, a przed mojem sercem uklął rozum, zniknęła wola, pamięć zbutwiała. — Ludwiku, przedział jaki pomiędzy nami wypadki uczyniły, jest wielki, większy aniżeli był wówczas, kiedy młoda, ładna, bogata, jaśniejąca dowcipem, rozsądkiem i cnotami kobieta, chciała się tobie podobać. — Dzisiaj, gdzie ślady mojej piękności, mojej rozkosznej swobody, gdzie ogień moich oczu, pulchność białych rąk, z których tylko jedna kościasta, pożółkła pozostała? Czas, wielowładny pan, wszystko zni-

szczył, tylko nie zdołał zniweczyć mego przywiązania. — Inną jestem kobietą. — Mowa moja zimna, prawda Ludwiku, nawet obecność twoja, widok śmiertelnych szczątków cnotliwej kobiety, nie podniecają wrzących moich uczuć, — ale — to powierzchownie Ludwiku, — wulkan milczy, lekki tylko dym rozłącza, zaliż jest to dowodem że kotlina jego nie zionie już nigdy siarczystym płomieniem, nie rozrzuci straszliwej, ognistej lawy na około siebie? — Nie. Konanie moje będzie straszne, o! bodajby Wszechmocny dozwolił mi widzieć ciebie w chwili śmierci, jedno twoje pocałowanie osłodziłoby cały ogrom cierpień życia, dozwoliłoby mi spokojnie umrzeć.

— Istotnie, ciebie obłąkała poezja, ty nigdy nie wierzysz w rzeczywistość.

— Owszem, wierzę w nią bardzo, i dla tego lat tyle wzdycham do jednego przedmiotu. — Moja wyobraźnia posiada ciebie w zupełności, ty jesteś obecnym mi wszędzie, każdej myśli towarzyszy twoja postać. Noc jest dla mnie bożyszczem, cień każda twoim obrazem, chwytam ją, zimne, martwe ściany całuję, tulę w objęciach poduszki, przemawiam do nich; w rozognionym moim umyśle, słyszę inne nad rzeczywiste, odpowiedzi. — Jest to życie marzeń, każda chwila takiego życia droższą jest nad długie lata, które nic więcej mi nie przyniosły nad cierpienia, nic nie zrodziły nad zbrodnie. — Bądź zdrów, Ludwiku, oddalam się, nie zapomnij, jakie na ciebie Bóg przezemnie włożył powinności.

Elżbieta opuściła kaplicę.

Buczys zamknął grób i wychodził właśnie z świątyni, kiedy tentent konia dał się słyszeć.

— Może to żyd? — cicho przemówił Kirlik.

— Kirlik! zapominasz się.

— Prawda, nie mogłem, pomimo chęci, zapomnieć krzywdy, jaką mi opiekun przy pomocy żydków wyrządził.

— Czyliż wszyscy mają odpowiadać za jednego?

— Oni prawie wszyscy jednostajni.

— niesprawiedliwym jesteś; pokuta, pokuta, nie więcej nie powinno cię zajmować.

Jeździec ominął właśnie rozmawiających, którzy za zbliżeniem się jego umilkli.

— Mam wielką ochotę pójść za nim.

— Po co?

— Nie wiem, ale mam chęć niepowściągniąną.

— A jednak nie pójdziesz.

— Niech się stanie twoja wola.

— Idźcie do domu, pozostanę tutaj.

— Opuszczasz nas, Ludwiku, — przerwał dotąd milczący Czywas.

— Nie; nigdy nie rozłączę się z wami; dobrze nam bardzo; życzenia nasze spełnione: sieć, mamy; ogród, mamy; chatę, mamy. — Postępujemy po drodze cnoty, a Bóg udziela nam nadziei przebaczenia. Czegoż więcéj potrzeba dla nas, którzy najpiękniejsze dni wiosny naszej pomiędzy zwierzętami przepędziliśmy? Idźcie, nieobawiajcie się, wkrótce ujrzycie Buczysa.

Czywas i Kirlik odeszli, Ludwik pozostał przy kaplicy; skoro tylko jednakże ujrzal się samotnym, natych-

miast pobiegł w stronę, w którą się jeździec udał.

— Rzadko myliło mnie przecucie, — mówił do siebie, — może to właśnie nie intrygi, może za jej pomocą kłębka dojdę.

Przed dworcem Zabohowskich stał uwiązany koń osiodlany.

— Podobieństwo wielkie; idźmy przeto do kaplicy; wracać musi tą a nie inną drogą.

Rzeczywiście w pół godziny powracał żyd, jadąc stępem. Dniało. — Buczys puścił go kilkadziesiąt przed sobą krokrów, a potem w wieśniaczym swoim stroju, bez obawy zdążył za nim.

Żyd zatrzymał się przy płocie ogrodu starosty, wyjął z zanadza zwiłek papieru, oddał go stróżującemu w budce, a potem zwrócił się do karczmy. Buczys powrócił do swoich.

- Kirlik!  
 — Co powiesz bracie?  
 — Pójdiesz do Wilna.  
 — Z ochotą.  
 — Kupisz dla mnie pańskie suknie.  
 — Tobie?  
 — I sobie także.

Kirlik zdziwiony wpatrywał się w Buczysa.

— Nie zadziwiaj się, a jeżeli nie chcesz uczynić mi tej przysługi, sam udam się do miasta.

— O! nie dla tego, ażebym miał się uchylać od *przechadzki*, (4 mile) lecz nie mogę pojąć na co nam szlacheckie stroje.

— Dowiesz się połam. Suknie mają być nawet bogate, strojne, żeby się w nich podobać można było.

— Co słyszę, ty Ludwiku żenić się zamýślasz?

— Mylisz się. Objaśnić cię nie mogę, i powtarzam, że jeżeli nie chcesz, sam pójdę.

— Idę, idę.

— A pieniądze, nie pytasz o nie?

— Prawda, zapomniałem że zapłacić potrzeba;... ale my pieniędzy nie mamy.

— Nie troszcz się...oto są. Idź i wracaj jak najśpieszniej.

Na drugi dzień, wieczorem, Kirlik powrócił z kupionemi rzeczami.

— Czywas, — mówił Buczys, — teraz na ciebie kolej. Udasz się do swego szwagra, do Jana, ma on porządną bryczkę i konie... albo pożyczysz, albo kupisz.

— Domyślam się, — przerwał Kirlik, — będziemy podróżować; wątpię jednakże, ażebyśmy wynaleźli w całym świecie tak miłe, lubie ustronie, jakie teraz zamieszkujemy.

— Nie opuścimy go wcale, — odparł Buczys.

Do Jana nie całe dwie mile drogi. Czywas z świtem wyruszył, w południe wrócił bryczką zaprzężoną w dwa dzielne, kruczej barwy, konie.

— Dobrze, wieczorem pojedziemy.

— A gdzie?

— Dokąd?

— Do karczmy stojącej przy dworze starosty.

— Ha! zaraz, — zawołał Kirlik, — może mnie karczmarz znajomy, ... ale nie, nie... dobrze, pojedziemy.

— Ty Kirlik będziesz jakoby rządcą dóbr moich, ja bogatym dziedzicem, Czywas woźnicą.

— Chwała Bogu, najłatwiejsza moja sprawa.

— Nie bardzo, powinienes strzedz się i nie wymówić. Jeżeliby żyd wypytywał się o mnie: powiesz, że jeste-

śmy z za Wilna, że ja jestem bardzo bogaty, beżżenny,... nie zapomnisz?

— O! nie.

Zmierzch zapadł, bryczka parokon-na zajęła przed karczmę. — Gospodarz wybiegł, zdjął czapkę, kłaniał się nisko, i zwyczajem swoim, wyliczał dogodności dzierzawionęj przez się gospody.

— A usługa?

— Najrychlejsza, jasny panie.

Buczys miał na sobie granatowy kontusz, złocistym przepasany passem, pod nim seledynowy aksamitny żupan, szarawary niebieskie z złotym lampasem, bóty czerwone z ostrogami, czapka aksamitna czarna, karabella bogata, kilku znacznej wartości djamentami ozdobiona. — Ubiorten zyskał mu u karczmarza tytuł jaśnie wielmożnego, a postawa rzezka, żół-

nierska, wraziła w żydka uczucie najgłębszego uszanowania.

Buczys śmiałym krokiem wszedł do karczmy, a za nim Kirlik, Czywas wprowadził bryczkę do stodoly.

Wkrótce zjawił się po rozkazy karczmarz. Buczys skinął, i Kirlik wyszedł.

— Mój kochany, okolice wasze podobały mi się. Nie ma tu dóbr do nabycia?

— Nie wiem, jasny panie.

— A sąsiedztwo... jakie tu?... dobre... he?

— Dobrze, bardzo uczciwego... ta karczme należy do starosti Wilczyńskiego, bardzo dobry pan... ma trzy corki, jednego już za mężem, bardzo dobrego, dwóch jeszcze młode.

— A więcej kto?

— Dalej jest bogaty ślachcic, jejmość Zabuhoski... od niego niedaleko wioskie dwóch siostrów Tatarek.

— Tatarek?

— Tak, ich ojciec był bardzo mę-  
żnego człowiek, a potem był katoli-  
kiem, dostał szlacheństwo, to im i wol-  
no mieć sto wsiów...potem jest dalej  
pan Miączyński, na prawo Kotuliński,  
Zarewicz, Kotwicz, wszystko bardzo  
dobrego pana, jus teraz u nas nie ma  
złych...bo tu był straszego dawniej  
rozbójnika Buczys...to on strasznie  
wiele pozabijał.

— Doprawdy? ale teraz go nie ma.

— Ej, jest, nu, wielkich porobił za-  
slug i darowali mu życie...rybacy.

— Słuchaj no, znasz ty Tatarki, o  
których mówiłeś?

— Znać nie znam, ale poznać jak  
jasny pan każe, to można.

— Widzisz, one dawniej mieszkały  
w Wilnie, jedna poszła za męża.

— Słuchałem.

— Otoż ona mnie kocha,... chcesz zarobić dużo pieniędzy, to zawieszysz tam bilecik. Jesteś zręczny, potrafisz doręczyć... zdradzisz mnie, to umyślnie kupię od starosty dobra, trzy razy tyle zapłacę, a ciebie wypędzę.

— Nu, na co mnie zdradzić, cy ja to takich nie robił interesów, już ja i od pani Karoliny wozik pisma, a nikomu nie powiedział.

— Nie pytam o to, wcale mnie obce sprawy nie obchodzą.

— Ja tylko powiedział na dowód, że umiem prowadzić takich rzeczy, broń Boże, żeby to jasnego pana obchodować miało.

— Poczekasz tam na odpowiedź. Pismo oddasz kobiecie o jednej ręce, starzej, rozumiesz?

— Rozumiem.

— No, to jedź zaraz.

— Jasny panie, to po drodze, a trochę potem, to będzie miał drugie pismo od pani Karoliny w tamtę stronę.

— Jedź zaraz.

— C...

— Nie stójże, na drogę, jako zadatek, daję ci dukata, spraw się dobrze... pamiętaj, że możesz nie mało zarobić.

— Jadę, jadę.

Żyd wyszedł, a Kirlik przysłuchujący się za oknem rozmowie, wbiegł cicho mówiąc:

— Jakto, kazaleś oddać list téj kobiecie bez ręki, ona przecież tu mieszkała, żyd ją zna.

— Ale nie pozna. Zresztą rzecz zupełnie umówiona. Poznałżeś ty Elżbietę?

— Nie, ale ja parę razy ją tylko widziałem i to przed kilku laty, to rzecz zupełnie inna.

— Nie obawiaj się, zmieniona ona bardzo. Gdy tu mieszkała była piękną kobietą, teraz maskara, a jednak bardziej jej sprzyjam dzisiaj aniżeli dawniej.

Bilet Buczysa był dobrze opieczętowany, lubo rzeczywiście nic w sobie ważnego nie zawierał. Żyd podjechał w nocy do strażniczej budki, zabrał z niej pismo Karoliny i odjechał.

Ludwik z Kirlikiem wyszli na jego spotkanie. Buczys bowiem miał nadzieję zobaczyć w jaki sposób składane i pieczętowane były listy Edwarda.

Szarawo. Karczmarz wraca.

— A, jesteś przecie;... nie mogłem doczekać się ciebie, gdzieżeś tak długo siedział, masz pisma?

— Mam, jasny panie.

— Dawaj.

Karczmarz wyjął listy. Elżbiety był prawie kwadratowego kształtu, Edwarda podłużny, na papierze, jaki podówczas za najlepszy był uważany, napisany.

Buczys okazując niecierpliwość, zerwał pieczętkę i przeczytał te kilka wyrazów.

„Dobrze... jesteśmy na drodze zbawienia.... Ach! Ludwiku, za wszystkie cierpienia jestem dziś wynagrodzoną; ... kilka słów twoją ręką pisanych, o! Boże, co za szczęście; one stanowiąć będą najslodsza dla mnie pamiątkę,— twoja służebnica, *Elżbieta*.“

Możesz jechać, panie gospodarzu, ale jutro znowu wypadnie ci podobną podróż odbyć.

— Z ochotą, jasny panie, — odrzekł karczmarz, zdejmując czapkę i ude-

rzając nogami po wychudłych bokach szkapy.

Skoro odjechał, Buczys z Kirlikiem udali się do kaplicy, chociaż szarawy świt zamienił się już na bladawo-różowy wschód słońca.

Okolo dopiero południa powrócili do karczmy. Żyd niezmiernie był nadskakujący, z czego wnosił Buczys, że Elżbieta musiała mu dać także wynagrodzenie. Nad wieczorem Buczys zasiadł do pisania listu. Najdokładniej określił kształt powierzchowny listów Edwarda, i uwiadomił Elżbietę, ażeby w mającym uczynić się przez nią odpisie, nie zgoła nie zamieszczała.

Z zapadłą nocą karczmarz znowu odjechał.—Również jak poprzedniego razu, Buczys wyszedł na spotkanie jego.

Zamiar Ludwika nie został chybnym. Buczys odebrał pismo Edwar-  
da, a poleciwszy karczmarzowi aby  
list Elżbiety doręczył tam gdzie mu  
wiadomo, złamał pieczęć, i wyczytał:

„*Najdroższa Karulino!*

„Zastraszasz mnie twojem pisanem,  
chcesz iak uważam, żebym cię por-  
wał i uwiuz, zastanuw sie nat tym  
dobrze, bo to nie stuka zrobić głu-  
pstwo, ale naprawić one to mondrość.  
Nie lepi to widywać sie albo w budce  
ogrodnika, albo w Trokach—ale nai-  
lepi w budce, bo powie mi czy kto  
dorozumi sie czego.—Spodziwam sie  
ze sie zgodzisz, Karulino najuko-  
chańsza?“

„Buy sie Boga, męźna chcesz sie  
pozbyć, jusz to drugi raz taka miśl  
napada ciebie, to niemozna, chociaz  
sam powiadam, ze dobrze byloby, ze-  
bi umar. Jutro bendę w budce i co-

dzien bede tam pszychodzyc, bo sie iusz umuwilem z karczmarzem. Ciebie na kolanach kochaiancy Edwart.“

Jeszcze macie jeden dowód zdolności i charakteru pana Edwarda!!

Nie wypadaloż mu zacząć na nowo sylabizować. O! Boże, czemuż to nie było Lankastra,—ale prawda, dzisiaj i systema Lankastra znane, i mamy dosyć osób poświęcających się mozolnym trudom nauczycielskim, a wszelako trudno próżniakowi, dandemu ulicznemu, wstawić klepkę w głowę, luboby może na to znalazło się lekarstwo, ale ci, którzy takiego gagatka wychowali, obawiają się, żeby nie pobladł nad książką, która nic więcej nad *nudną naukę* w sobie nie zawiera;—ale ci, którzy go przyjmują w towarzystwa, zaślepińcy, nie ludzcy, największą mu krzywdę wyrządzający, unoszą się nad misternym wę-

złem krawatu, nad ułożeniem przepachniałych włosów, nad skrępowaną nogą. — Unoście się, schlebiajcie, wy zabójcy pocziwych młodzieniaszków, — za ich cierpką przyszłość, za ich niedolę, wy odpowiecie; wasza czarna, znikczemniona dusza, nie znajdzie nigdy pociechy, wasze sumienie nigdy nie zamilknie!

Tak, tak, panowie, cel życia nie w lakierowanych boccikach, nie w ozdobnych puklach, ani też w sztuce kosmetycznej. — Zmiłujcie się, rozważcie, co robicie; — jacy wy śmieszni, jacy wy biedni; — jakże ja was żałuję, i zaręczam, że jeźlibyście przystali na wotowanie, więcej zyskali byście gałek liłości nad waszą lalkowatością, aniżeli głosów pochlebnych; a te ostatnie, myślicie, że byłyby przyjacielskie? — Byłże kiedy pochlebca szczerym przyjacielem? — Wy podo-

bni jesteście tylko do figurek żurnalów, które tak pięknie ozdabiają — co? może myślicie biblioteki? — nie — parawany !!



VI.

ETDZA STRAŻNICA.

**K**arolina wstała bardzo rano i przybrawszy się w skromny szlafroczek, wyszła do ogrodu. — Nie przechadzka ją wabiła — nie — bilecik, który spodziewała się otrzymać z rąk strażnika.

Rzeczywiście za zbliżeniem się do jednej z budek, w samym kącie ogrodu będącej, stróżujący doręczył jej list. — Karolina wzięwszy go w ręce, zachowała za gors koszuli, a gdy ten papier dotknął się jej łona, za-

drgało jej serce. — Spiesznie oddaliła się z przed budki, nie chcąc okazać wzruszenia jakie nią miotало, i schroniła się w zacienioną altanę, gdzie rozpieczętowała list — papier był czysty.

— Omylił się, biedny cblopak, widzę jego kłopot, no, będziemy oboje cierpieć... aż do jutra... tak długo, a może jeszcze i dłużej... nie, to nie podobna tyle znosić... ale przecież ufam jego odwadze i miłości... prośby moje uskuteczni;... opuszcze nienawistny ten dom... a jeżeli doń wróce kiedy, to tylko jako samojedna pani.

Buczys, który był karczmarza odprawił, nie czytając przy nim odebranego od Edwarda listu, powrócił wkrótce do gospody, i rozkazał przywołać żyda.

— Cóżżeś mi przyniósł? świstek czystego papieru? gadaj, tu jest wyraźne oszustwo.

— Ny, co mnie dali tam przywioz.

— Musiałeś się omylić, ten list musiał być nie do mnie pisany.

— Ja nie tego nie wiem. Jasny pan sam wybierał.

— Ha, bieda, nie mógłbyś odebrać tamtego listu, ciemno było, a teraz widzę, że tu na kopercie nie ma żadnego adresu (adres był, żyd czytać nie umiał).

— Zobacz.

Karczmarz nie długo potem przechadzał się po dzierżawionym ogrodzie, Karolina go spostrzegła i zapytała:

— Kto ci ten list dał?

— Ny, kto, pan Ee...

— Nie w nim nie ma... czysty papier.

— Nu, co to cysty, wszędy cysty, nu, i u tamtego pana cysty i u tej wielmożnej pani cysty, nu, co to, to istne cary, nu, cary.

— O czém ty mówisz?

— Nu, ja nie wiem, pisanie a pisanie... a jak przywieziesz to cysty papier.

— O jakim ty liście mówisz?

— Ny, o jakim, wielmożna dobrodziejko, tu u mnie stoi gość, i kocha tam jedną bez ręki kobietę, tak powiedział, i ona tak samo czeka w ogrodzie na listy swego kochanka, tego jasnego pana, co to u mnie stanął, bo musi być jasny, dukatami płaci; — i od niej woze także pisma... dziś ten jasny pan nie znalazł w swoim nic, tylko kawałek cystego papieru, wielmożna dobrodziejka zupełnie tak samo.

— Szczególna.

— Nu, to cary, — dodał ramionami wzruszając karczmarz.

— Szczególna, — powtórzyła Karolina, opierając się o wiśniowe drzewo.

— Ten pan Ee . . . , — mówił dalej karczmarz, przeciągając pierwszą literę imienia Zabohowskiego, — obiecał w nocy tu przychodzić, i w téj budce biwać. . . ja tu już syna swego nie zostawie; boby on mógł się wygadać, tylko sam bede nocować, a jak pan Ee przyjdzie, to ja z budki pójdę sobie prec.

— Co? co?

Karczmarz powtórzył.

— Więc tu przyjdzie?

— Tak obiecał.

— Odważny chłopak, — pomyślała Karolina, — ale obawiam się, żeby przy kaplicy wypadku jakiego nie doznał. — Potém rzekła Karolina: — Cóż.

tam kochanku, przy kaplicy spokojnie? zbójców nie ma?

— E... nie ma co i gadać...już ich wszystkich jeszcze za Szwedów wywieszali...tyras tam tak cicho, że nawet strach jechać.

— Bywaj zdrow, do wieczora,— możesz się zawsze łaski mojej spodziewać.

— Dziękuje wielmożnej pani.

Karolina, Buczys i Edward, oczekiwali z niespokojnością nocy.

Treść listu Edwarda nie była nikomu wiadomą. Buczys działanie w tym przedmiocie, wyłącznie sobie zostawił.

Noc.

Ani jedna gwiazda nie wystrzeliła światła swego na horyzont. Ciemno, „choć oko wykół,” jak mówi przysłowie.

Dla podobnych schadzek najdogodniejsza sposobność.

Północ.

Okolo kopca przeszedł człowiek. Z za kopca wyszedł drugi, lekko, ostrożnie, cicho, stąpając za pierwszym.

Przed strażniczą budką stoi karczmarz.

Od dworu szybkim krokiem przesunęła się kobieca postać.

Za węglem śpi na świeżem sianie Szczepan. Ale zasnął za mocno. Dobry wieczorny humor Karoliny wprowadził cały dom w wesołość, — z wesołości, w kielich; — wszyscy spali jak zarznięci.

Umie kierować interesa.

Otoż i rendez-vous!! Karczmarz oddalił się. — O trzy łokcie od kochanków stoi Buczys, prawą ręką dzierży rękojeść karabelli, lewą od-

dała szeroki płaszcz, który zasłaniając go od głowy do nóg, czyni podobnym do piekielnej mary, — płaszcz czarny do kostek, z kapturem spadającym aż na oczy, które przyćmiewają umyślnie przymrużone powieki, aby blask ich, okropny, ognisty, nie był widzianym przez kochanków.

Śluchajmy.

Trzy serca biją mocno. — Jedno z nieprawej lecz szczerzej miłości; drugie z podłej namiętności, — trzecie z obrazy, wściekłości i pragnienia krwawej zemsty.

— Wiesz, Edwardzie, omyliłeś się, przysłałeś mi tylko kawałek czystego papieru.

— Potem o tem, czyliż nie możemy krótkich chwil naszego widzenia się, zapelnąć dawno oczekiwaniem szczęściem... rozkoszą; ... pójdź, usiądziemy.

— Tu jest pod drzewem darnio-  
wa ławka.

— Nie, nie lubię ławek zdarniny;  
w nocy zwykle rosą zwilgocone...  
pójdźmy do budki.

— Tam trzeba się schylać.

— Tak mała rzecz ciebie zraża.  
O! nie takie ofiary czynią się w mi-  
łości.

Karolina ujęta w pól, dała się  
wprowadzić do budki; Buczys prze-  
kroczył płot, a trzymając się jedną  
ręką za kolek, pochylił się i prawie  
ucho przyłożył do słomianego daszku  
budki.

— Ach! jak dawno z tobą nie mó-  
wiłam;...myślałam żeś o mnie zapo-  
mniał.

— Niebezpieczno.

— Żyd mówił, że w kaplicy naj-  
spokojniej.

-- Będę teraz co noc przychodzić, dobrze?... to nasze chwile szczęścia.

— Więc nie chcesz mnie wziąć pod opiekę swoją?

— Nie mogę ... rodzice ...

— Edwardzie, nie zapominaj się.

— ... nie dobra... rodzice jeszcze żyją...oni bogobojni, nie zezwoliliby na zgorszenie.

— Ja kto, toś ty myślał, że ja chciałam upodlić się, zniestawić;...nie pojąłeś mnie;...Edwardzie, głupstwa robisz.

Silne szturchnięcie jakby od lokeia pochodzące, uderzyło w strzechę.— Karolina odepchnęła rękę zuchwalca, a w trzech ostatnich jej słowach, wiele niechęci malowało się.

— Ja w swoim liście objawiałam myśl, że w waszym dworze, mogę być pod suknią służącej, wykonywać najniższe usługi, aby tylko ciebie

widzieć... z tobą rozmawiać;... z czasem, kiedyby Rudolf zakończył życie, byłabym twoją... o! wtenczas, Edwardzie, nie mogę wysłować jaka rozkosz napelnilaby moje piersi.

— A teraz czyliż nie można? Jesteś dziwaczna.

Pocałunek.

— Edwardzie, jesteś niełitościwy, zawodzisz moje zaufanie, twoje postępowanie natrętne.

— Kocham.

— A więc szanuj moją sławę.

— Czczy wyraz! Karolino, ty mnie nie kochasz, dawniej inaczéj przemawiałaś do Edwarda.

— Ależ Edwardzie, zmiłuj się, co robisz.

— Kocham.

— Ustąp, ja pójdę.

Głos Karoliny był drżący, przerażający; odepchnienie silniejsze od

pierwszego, wstrząsło cały budynek.

Buczys gotów był rzucić się na obojga. — Zniesławię i brata i jego rodzinę, — pomyślał, — hamujmy się.

— Nie pójdziesz, bądź rozsądną.

— Edwardzie, nie przyprowadzaj mnie do ostateczności, wolę umrzeć aniżeli zhańbić się. Byłabym wówczas niższą od najostateczniejszej kobiety.

— Nie kochasz?

— Kocham, dla ciebie wystawić się chcę na nędzę, na przekleństwo; ale jeśli w twojem sercu miłość czysta i szlachetna panuje, za zbrodnię ona poczytuje tak haniebnych używać kroków, niesławą kochankę otaczać.

— Romanse ... poezja.

Znowu szarpnięcie się, a po nim głuchy jęk nastąpił.

— Próżny opór... kłóżby uwierzył, że tu będąc, niewinną pozostałaś. Najmniejszy hałas, a piętno brudnego życia, przytłoczy cię całym swoim ciężarem.

— Nie... umrę... chcę umrzeć... tak kochający nie czyni.

— O! napróżno.

Edward chustką z szyi związał ręce Karoliny, a pasem obwiązał głowę i usta.

— Zlituj się, na Boga, — szeptała zdławionym głosem Karolina, ale tych wyrazów Buczys nie słyszał.

Szamotanie się.

— Precz, precz odemnie niktęmniku, zdrajco! — wykrzyknęła Karolina, zrzuciwszy siłą swe pęta.

Edward przełęczniony, obawiając się, aby na głos Karoliny nie przybiegła pomoc, wybiegł z budki, prze-

skoczył płot i zaczął uciekać ku lasowi. Buczys dogonił go.

— Stój!

— Któż to?... co chcesz odemnie?

— Zdasz sprawę z swego postępowania.

— Ja nic nie winienem, ja nigdzie nie byłem.

Buczys głośno się rozśmiał.

— Podły człowieku, tchórzu, nie wahasz się niszczyć szczęścia bliźnich, a życia lękasz się wystawić na cios broni.

— Co pan chcesz odemnie, wcale go nierozumiem.

— Nierozumiesz, — powtórzył Buczys, — słyszałeś ty dawniej o Buczysie?

— Nie; doprawdy nic nie wiem.

— Byłeś ty w kaplicy, kiedy was powiązano i jak baranów na ziemię pokładziono.

— Pan się mylisz, ja nigdy w kaplicy nie byłem.

— A znaszże ty Sapieszkę z Giwokor.

— Wcale nie.

— Wszakże ty jesteś Edwardem.

— Broń Boże, ja, ja, jestem ...

— No i któż ty jesteś?

— Puść mnie, ja muszę iść do domu.

— A gdzież twój dom?

— ..... E ... e...tak do domu.

— Czekaj, ... ja ci powiem gdzie twój dom; chcesz?

Edward nic nie odpowiedział.

— Sześć desek i dwie deszczki.

— Co mówisz! to okropnie ... to jest rozbój, napaść na spokojnie idącego poczciwego człowieka.

— A jakbyś nazwał uwiedzenie, zdradę, i chęć dokonania gwałtu na kobiecie?

— Ja nie wiem; puść mnie, dla czego mnie zatrzymujesz?

— Jestem Buczys,...rozumiesz... a ty jesteś Edzio;...jutro o północy masz się stawić w kaplicy...pamiętaj;...jeżeli uchybisz, przyjdę ja do ciebie...no, obiecujesz?

— Do kaplicy?! ja nie mam żadnego do ciebie interesu.

— Ale ja mam do ciebie...powtarzam ci, czy mnie zrozumiałeś?

— Tam straszy.

— Przyjdziesz lub nie? odpowiadaj, lub stawaj do rozprawy.

— Wyzywasz mnie, jam cię nie obraził?

— No, to ja obrażam ciebie, — odparł z pogardą Buczys, silny wymierzając policzek Edwardowi, — jutro o północy masz przyjść do kaplicy; możesz przyprowadzić stu świadków, nawet zbrojnych; bo wiedz o tem,

że dla człowieka z żołnierską duszą, śmierć nie straszna; więc się was wszystkich nie obawiam;... a jeżeli w tobie istnieje ognik szlachetnej odwagi, przyjdiesz sam. Do jutra.

Buczys wolnym krokiem wracał do dworu starosty, wówczas kiedy Edward bez przytomności, jak wryty, pozostał na miejscu spotkania.

Na krzyk Karoliny, nadbiegł karczmarz z uwiadomieniem, że Szczepan przebudził się, i że o kilka kroków już się znajduje.

Karolina ścisnęła rękę przychylnego sobie karczmarza, wtuliła się w kąt strażniczej budki, przyległa do ziemi i okryła się deką, której żyd używał za prześcierało.

Zaledwie zdołała to uczynić, przybył Szczepan.

— Cóż tu, panie arendarzu, za krzyk?

— Nie wiem, dalipan nie wiem.

— Jak to, niesłyszeliście?

— Słychalem, ale schowałem się; bałem ...

— A to źle, może to byli złodzieje... muszę pozostać przy was, kiedy się boicie. — I Szczepan kończąc rozmowę, położył się na darniowej ławce, na której Karolina chciała była usiąść z Edwardem.

— Scepanie, tu wam nie wygodnie będzie, pójdźcie lepiej do mnie.

— Tu mnie dobrze, — odpowiedział stary Wilczyńskiego sługa. — Ha, — rozumował dalej w duchu, — widać, że *jój* nie ma, skoro mnie do siebie zaprasza; ... ale okienica otwarta, przecieżem macał mojami własnymi rękami.

— Scepanie! będziecie pić wódke?

— Dziękuję wam, arendarzu;... nasza pani uraczyła nas z wieczora; głowa mnie boli, pić się chce.

— To może piwo pić będziecie, — odezwał się znowu karczmarz, — pośle mego syna.

— To wy arendarzu z synem siedzieliście w budce, i obawialiście się hałasów?

— Nu, kiedy to był tak straszne go krzyk.

— Dobrze; piwa się napiję, poszlicie, — odpowiedział Szczepan. — Rozumiem, — myślał sobie, — ona się z rąk moich wymknęła, ale pozostał gach, .... niech-no tylko wyjdzie.

Karczmarz zdjął z siebie chalat, Karolina go wdziała, natłoczyła na oczy czapkę i cała drżąca wyszła z budki. — Buczys ukryty w obszernym dole, słyszał rozmowę Szczepana z karczmarzem, i wiedział dobrze,

kto pod pozorem przyniesienia piwa, wychodzi z budki; pojął także dla czego Szczepan wódki nie chciał, a piwa zapragnął.

Karolina zaledwie mogła przeleść przez płot, siły ją opuszczały, nogi odmawiały posługi, nieregularne krążenie krwi, przedstawiało jej wyobraźni najokropniejsze widoki.— Zdawało się jej, że w polu, przy granicznym kopcu, który sam jeden, jak jasny punkt w ciemnościach świecący, z ponurych objęć nocy, wyobraźnia Karoliny rozróżnić umiała, stała groźna cień matki, i otrząsając światła tego odzież, daną jej za śmiertelne ubranie, aksamity, brabanckie koronki i atlasy; rzucając kosztowny djamentowy pierścień, jedną tylko obrączkę ślubną wznosiła wyżej nad siebie, i krzyż w powietrzu czyniąc szeptała: — kochać wolno, ale danych obie-

tnic *część* przekraczać nie dozwala. Słowo ludzkie powinno naśladować słowo Boskie. Bóg rzekł i stało się, i odstąpić nie może;...wyrzekłś przysięgę *dobrowolnie*, na wieki dochować jej powinnaś była....Przekleństwo tobie!!

— Przekleństwo! — krzyknęła Karolina i padła na ziemię. — Buczys z jednej, Szczepan z drugiej przybiegli strony. Obaj nie spoglądali na siebie, lecz podnieśli zesztywniałą kobietę, i obaj prawie razem wyrzekli:

— Cóż z nią zrobimy? — i zamilkli.

— Słuchaj, bracie, — zawołał cicho Buczys, — zanieś ją do dworu.

— A kto ty jesteś?

— Buczys,... poznaję cię po głosie Szczepanie; ona jeszcze niewinna;... śledziłem kroki uwodziciela, wiem przeto o wszystkiem, i powłaczam, ona dzisiejszej nocy nie zbłą-

dzila. Zanieś ją do domu i zamilcz, przynajmniej dopóty, dopóki ze mną się nie naradzisz.

— Dobrze.

Stary sługa wzięwszy na ręce Karolinę, postępował ostrożnie z powierzonym opiece jego ciężarem, i myślał: — Karczmarz, odpowie mi; a myślę, że Edward złoży rachunek Buczysowi; nie chciałbym być w jego miejscu.

Szczepan przyniósł i złożył Karolinę na jej łóżku, poczem wyszedł, niezapomniawszy zabrać z sobą żydowskiego ubioru; zamknął okienicę od ogrodu, podparł ją drągiem, a potem wszedł na korytarz i zapukał do drzwi Rudolfa.

— Panie, przechadzając się po ogrodzie, usłyszałem głucho stękanie w pokoju żony pańskiej, potrzebaby dowiedzieć się... może słaba.

Rudolf zerwał się z posłania, nie mógł jednakże zaraz trafić do drzwi, tak fatalne skutki sprawił bankiet przeszłego wieczora; atoli wkrótce dogramolił się do nich, otworzył je i wspólnie z Szczepanem udał się do pokoju Karoliny.

Zapalili lampkę. Karolina leżała w tej samej postawie w jakiej pozostawił ją Szczepan, — blada, otrewiała, nie dawała najmniejszych znaków życia. — W jednej chwili zaświeciło się w wszystkich dworskich pokojach, spokojność snu zamieniła się w ruch ogólny, kilku konnych posłańców rozbiegło się na wszystkie strony, kobiety cucily omdlałą, Rudolf milczący przechadzał się po pokoju, a potem wlepił wzrok boleści w swoją żonę, która miała być niedługo matką, oczy zaślniły się, za-

czerwienily i dwie lzy potoczyly się po licach, zalamal ręce i westchnal.

Starosta przeciwnie, usiadl spokojnie w krzesle, i rachowal na palcach... to byl sposob, jakiego uzywal do zgłębiania lub wykrycia tajemnic; nikt na niego nie zważal, jeden tylko Szczepan sledzil najmniejsze poruszenia, najdelikatniejsze odcienia przemiany rysow twarzy, rzuty oczu; — jeden tylko Szczepan znal dokladnie staroste, bo z nim jednego dnia urodzil się, wzrosł, wychowal, towarzyszył mu przez cale życie wszędzie i zawsze, w radości, w smutku, w zwycięztwie i przy klęsce, w zdrowiu i chorobie, w szkolach, na chrzcinach, weselach, pogrzebach, sejmikach, sejmach, zjazdach, utarczkach, bitwach, niewoli! — jeden tylko Szczepan, powtarzam, zrozumial, że starosta powalpiewa, że jakaś troska ci-

śnie go, dolega, że usiłuje przedrzeć zaslonę prawdę ukrywającą. Szczepan mógł to uczynić, ale pamiętał na dane słowo, — pamiętał także o sławie imienia swego pana.

Słońce już weszło kiedy przybyło dwóch lekarzy. Długo rozmawiali, radzili, namawiali się... potem napisali recepty i poszli na przysposobione dla nich śniadanie, w czasie którego ochoczo i wesoło rozmawiali o swoich dawnych miłościach, schadzках, awanturkach.

Starosta siedział przy oknie milczący.

Rudolf potniał, bladł, czerwieniał i siniał.

Szczepan usługiwał, nie mówiąc słowa, zaciął zęby, i tylko policzki mu drżały, a żyły wystąpiły na czoło.

— Nieodgadnione wypadki, — myślał starosta, i to był rezultat kilkogo-

dzinnych jego uwag. Samo przez się rozumie, że nie będąc Bogiem lub świadkiem jak Szczepan i Buczys, nie mógł rozwiązać tajemnicy.

— Biedna kobieta, — mówił do siebie Rudolf, — ona cierpi przezemnie, ja stoję na przeszkodzie jej szczęściu...pojmuję;...lubo tak bardzo zapewniam mnie o swęj miłości, lubo w tę miłość wierzę, czuję, że dla téj żywej wyobraźni, mało uczuć prostych, rzeczywistych,...czyliżem winien, że udawać nie umiem! — On najmniej ją znał.

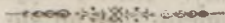
— Poczwarą! jakąż okropną przyszłość zgotowała dla ojca, męża i dziecięcia. — To była panująca myśl Szczepana.

Jeden z lekarzy zbliżył się do starosty, powtarzając znane przysłowie; „dobry trunek na frasunek“. — Kocha-

ny starosto, ręczeni za zdrowie two-  
jej córki, porzuć troski, rozwesel się.“

Wileczyński machinalnie zbliżył się  
do stołu i wziął się do kielicha.— Pił,  
ale ten napój była to trucizna żrąca  
wnętrznosci, były to szpony sępa szar-  
piące serce.

Rudolf, nabrał humoru, i on winem  
chciał stłumić głos miłości; rozmową  
głośną, hulacką, pragnął zapomnieć o  
Ayeszy, a przymusić siebie do miłości  
obowiązkowej, przysiężnej. — Miał  
być ojcem, nowe czekały go powin-  
ności, a charakter jego dawał najpe-  
wniejszą rękojmią, że je w zupełno-  
ści wykonywać będzie.



## VII.

### WIEŻA FORT.

**B**uczys opuściwszy Szczepana unoszącego Karolinę, powrócił do karczmy. Więcej wiedział i widział, aniżeli nawet życzył sobie.

— Biedny mój brat, — rzekł do Kirlika, — za co on cierpi. Jedna kobieta, szatan wcielony, zatrula szczęście całej rodziny. Kirlik, wyjeżdżamy.

— O dobrze; już mi się tu sprzykrzyło.

W pół godziny opuścili karczmę.

Nad ranem, karczmarz przyszedł do gospody, nie wiedział on wcale co się stało z Karoliną, mniemał jednakże, że ujsć musiała przed Szczepanem, bowiem w przeciwném zdarzeniu, sądził, że ostatni byłby niezawodnie przybył do budki dla zażądania objaśnień. Nie był jednakże arendarz spokojnym, i chcąc być zupełnie bezpiecznym, przebrał się i zamierzył iść do dworu.

O kilka kroków od wrot karczemnych, spotkał się z żebrakiem idącym zwolna i wspierającym się na grubym, sękatym kiju. Pomimo pochylonej postawy, rozrzuconych długich włosów, przedwczesnych zmarszczek i łachmanów, tak bardzo młodość starszą czyniących, karczmarz poznał w ubogim młodego człowieka. Uderzony nowym tym obrazem, rzadszym dawniej a i dzisiaj nie częstym, zamyślił się i

po wielu przypuszczeniach, zwrócił się ku domowi, do którego właśnie wszedł nieznajomy.

Nagły odjazd *jasnego pana*, uważał za mający związek z niespodzianém przybyciem żebraka; żebraka tylko w odzieży, ale nie w siłach. Zbadać przybylca, cel jego wędrówki przeniknąć, dowiedzieć się kto jest i z kąd przybywa; o to były zadania, które karczmarz rozwiązać postanowił.

Znamy obrotność i doświadczenie przemieszkujących po karczmach. Codziennie z innemi mając do czynienia osobami, nabierają oni pewnego taktu myślenia, pewnego rodzaju próżnej ciekawości; zimnej niewzruszonej woli, gorliwości, przenikliwości, a mając w rękach swoich środki, kluczem do rozwiązania języków niezbyt wstrzemięźliwych będące, umieją z nich korzystać, i zazwyczaj po-

trafią zawsze ciekawość swoją zaspokoić.

Gospodarz przyjął ubogiego zapytaniem słodkiem, łagodnym, — to pierwszy sposób do zjednania ufności; poczęstował wódeczką, to drugi akt dążący do zawrócenia głowy i wielomówstwa; a potem nuż z daleka wypytywać, rozmawiać, badać, a wszystko okolicznie, ubolewając nad losem nieznajomego. — Ale ów pan nieznajomy nie w ciemę bity, wódkę wypił, chleba z masłem spory kawał zjadł, a na zapytania odpowiadał glucho, ciemno, niezrozumiale, zaostrażając tym sposobem bardziej jeszcze ciekawość arendarza.

Owóż kiedy żyd niecierpliwił się, smykał i brodę głaskał, nadszedł Szczepan. — Szczepan rzadkim był gościem karczmarza, a przybywał tylko w ważnych sprawach; dla tego

to nasz arendarz zmieszał się nie po-  
mału, a chcąc ująć sobie sługę Wil-  
czyńskiego, wyniósł z komnaty gąsior  
miodu, i raczył starego.

— Dobrze to, słodkie, bardzo lubię;  
więcej nawet nad zagraniczne wina,  
bo kiedy pomyślę, że to nasze pszczoł-  
ki z kwiatków pól naszych przyspo-  
sabiają, zaraz opuszczam cudzoziem-  
skie nektary, a biorę się do miarki  
krajowego lipczyku, ... ale z tem wszy-  
stkiem, pić nie będę, ... nie mam cza-  
su; o! prosto do rzeczy zmierzając,  
zapraszam was imieniem pana mego,  
do dworu.

— Pijcie dobry Scepanie, a ja  
tymczasem przybiore się w święte-  
czne szaty ... pijcie za zdrowie starosty.

— Zdrowia panu memu życzę, ale  
pić nie będę, i wy się też nie odzie-  
wajcie w paradne suknie, bo interes

krótki, a Wilczyński nie suknie ale ser-  
ca ludzkie tylko ceni.

— Panie Scepanie, ... powiećcie  
mi co tam za sprawa, to coś nie do-  
brego.

— Dla czego ma być zle; poczci-  
wy człowiek nigdy i niczego się nie  
obawia, chyba tylko zbrodniarzy, a  
przecież do ich liczby Wilczyński nie  
należy.

— Nu Scepanie, powiećcie, bo ja  
się nie boje, ino ciekawy.

— To się śpieszcie, a dowicie. ....  
A! jak się macie? — rzekł Szczepan,  
który ciągle wpatrywał się w żebra-  
ka, — nie mogłem was poznać, toście  
biedni, a cóż to się z wami stało, z kąd-  
że idziecie?

Nieznajomy zmieszał się.

— Widzę, żeście nieszczęśliwi,  
dawne rzeczy puszczamy w niepa-  
mięć; ...ja zupełnie naśladowę mojego

pana;...pojdź do dworu i czekaj tam na mnie.

— Prawdaż to? tyle wspaniałomyślności... a ja starałem się dla was o wyrok śmierci.

— I zyskałeś go,... a jednak żyjemy;... Bóg pomieszał myśli dumnych, a sierotom dał zwycięstwo; władzy jego któż wyrówna, kto śmie sprostać z wolą jego?

Nieznajomy spuścił oczy, pochwycił dłoń starca, ścisnął silnie, a potem zasłonił twarz rękami.

— Minęło; nie myśl o tém,... posłuchaj rady mojej, idź do dworu, a jeżeli nie masz nikogo, na czyimbyś łonie znalazł przytułek, dom Wileczyńskiego otwarty dla nieszczęśliwych; znajdziesz w nim ojcowską opiekę, osłodek w cierpieniach, pociechę w troskach, przyjazne serca, — a za to wszystko wymagają tylko ...poczei-

wości, wyparcia się pychy, rzetelnej bliźniego miłości.

— Twoje słowa napęłniają mnie radością; ale jakże tam mogę iść?

— A więc czekaj w tej gospodzie na posłańca;...być może, że ja sam przyjdę po ciebie.

Karczmarz z Szczepanem wyszli z gospody i udali się drogą, nie do dworu, lecz do kaplicy wiodącą.

— Dokąd wy idziecie, Scepianie?

— Do mojego pana.

— To jego nie ma we dwore?

— Nie ma.

— Mówiliście, że mam się stawić we dwore?

— Ty wczoraj posłałeś po piwo, a do dzisiaj nikt z niem nie przyszedł.

— Nu, co ja winien, wyście odešli.

— Za twoim synem, który przepadł mi gdzieś w polu.

— Doprawdy? — zapytał radośnie karczmarz.

— A tak, ja myślałem, że on pójdzie drogą; i szedłem aż do wrót karczemnych.

— Aż do mojej karczmy.

— Do starościńskiej.

— Psiepraszam, omyliłem się.

— Nie gniewam się, ale nie przerywaj mi. Mniemając, że twój syn już tam znajduje się, zapukałem.

— Nu, a co?

— Twój syn wcale nie był w ogrodzie.

— A wa!

— Spał noc całą w betach.

— A... a...

— Widzisz łotrze, kłamco.

— Panie Scepanie.

— Odpowiadaj, — groźnie zawołał Szczepan, — kto był z tobą w budce?

- Nu ...

— Bez wybiegów, żywięj;... no, jakże... milczysz?

— Nu.

— O! ja za ciebie odpowiem, wietrutny zdrajco, — rzekł stary, — poczekaj, wiążesz się z złodziejami, czy dla tego ci dano dzierżawę ogrodu, he?

Karczmarz nieodpowiadał, ciągle t... t... t wymawiał jego język; — jękał się z bojaźni. Szczepan pochwycił go za kark i przyprowadził w takim położeniu aż do kaplicy, — Buczys czekał na niego.

— Słuchaj, panie arendarzu, — uprzedzając ostatniego przemówił Buczys, — wozileś listy romansowe, ułatwiałeś schadzki, skrywałeś zdybanych przestępców; prawda?

— Jasny panie.

— Pochlebco, sądzisz że twą przewrotnością zdołasz mnie oszukać, nie,

twoim intrygom dzień dzisiejszy koniec położy.

— A wa, ja mam tyle dzieciów.

— Jednak po nocy nie obawiasz się włóczyć za pieniądze? trzeba ci dać naukę, którejbyś nigdy nie zapomniął.

To mówiąc, wprowadził żyda do kaplicy, otworzył przy pomocy Szczepana drzwi grobowe, związał go i wrzucił pomiędzy szczątki zmarłych.

— O dwónastej godzinie w nocy, mam mieć z kochankiem Karoliny rozprawę; czy przyjdiesz Szczepanie?

— Przyjdę;... jakże, czy nie mam staroście o niczém powiadać?

— Nie.

Szczepan powrócił do dworu, Buczys udał się do Szafranowicza. Na dworze stała bryka, a w niej siedziała Ayesza odjeżdżająca do Wilna, aby tam wstąpić do zakonu.—Buczys omi-

nał tę bryczkę i wszedł na ganek wtenczas właśnie, kiedy Elżbieta z drzwi wychodziła.

— Ludwik!

— Milczenie.

— O! musi coś być ważnego.

— Zapewne.

Buczys skinął ręką, Elżbieta wprowadziła go do obszernego pokoju, wyszła i przywołała Szafranowicza.

Długo te trzy osoby rozmawiały, na koniec Buczys pożegnał swoich przyjaciół, a gdy wyszedł na dziedziniec, bryczka ruszyła z miejsca, i Ayesza odjechała w towarzystwie siostry i szwagra.

— Szkoda! — mruknął Buczys, — ta kobieta mogłaby uszczęśliwić Rudolfa, ... biedna, jej miłość, jak twierdzi Elżbieta, podobną jest do miłości mojej Marji.

Zostawmy na godzin kilka dom starosty, Tatarek, i chałę Buczysa, a wróćmy do Edwarda.— Przybywszy do domu, przepędził on resztę nocy bezsennie; nazajutrz udał się do Trok, do kustosza bernardynów, i opowiedział mu najdokładniej zaszłe wypadki.

— Synu, — odrzekł duchowny, — błądziłeś i porzuciłeś drogę cnoty; ... żałuj, Bóg może ci przebaczyć, ale ludzie, ludzie.

— Cóż mi tam świat, idzie mi o to, abym nie wystawił się na jakie nieprzyjemności; upewniam cię, ojcze, ani myślałem zbałamucić téj kobiety, sama nastroczała mi się, i lichu dało, odurzyła mnie.

— Złe mówisz; winy twojej wcale mniejszą przez to nie znajduję, a jeżeli mam otwarcie wyznać, mężczyzna, który potępia kobietę poświęca-

jącą się dla niego, 'nie godzien najmniejszego szacunku, i radzę ci, pośpieszyć się, przebłagać starostę i jego zięcia, a na przyszłość.

— O! o! ich przebłagać, Rudolf za-  
biłby mnie.

— Czy o tem dopiero teraz dowiedziałeś się?

— Nie, lecz poprzednio nic niebezpiecznego nie było.

— Istotnie, więcej ci radzić nie potrafię, i widzę, że o ile jesteś dumny, o tyle podły i tchórzliwy. Mowa kapłana nie powinna by wprowadzić tak ostrych i gorzkich używać wyrazów, ale kochanku, już to nie pierwsza twoja sprawka, ... szaleń złego obciążyleś wszelkiego rodzaju występkami, a na przeciwną wadze, szczypty cnoty nie położyłeś.

— Głupstwa mi księżę gadasz.

— Prawdę.

Edward trzasnął drzwiami skromnej zakonniczki celi, powrócił do domu, napisał list i odesłał go przez posłańca do starosty, a sam na łonie matki szukał pociechy.

\*

Dzięki staraniom Szczepana, Wilczyński zezwolił na przyjęcie nieznanego. Lecz nie mamy powodów ukrywać dłużej jego imienia, gdyż bez wątpienia już domyśliliście się, że to był Tytus, który tak usilnie starał się o śmierć haniebną dla wojennych jeńców. Współtowarzysz Darwerda, opuściwszy wileński szpital, znajdował się w Połtawskiej bitwie, potem w Turcji, a potem powierzwszy się falom Śródziemnego morza, wrócił do kraju, bez grosza i nadziei, — a w kraju nie miał przyjaciela, ani rodziny, ani ojca lub matki; urodzenie Tytusa pokrywała tajemnica.

U wrot dworca Wilczyńskiego zatrzymał się przychodzień. Szkarłat okrył twarz jego, oparł się o płot i pochwycił za kraj sukni Szczepana.

— Co ci jest, Tytusie, — zapytał Szczepan, — czyś słaby?

— Nie; rumienie się, wasza szlachetność upokarzałaby mnie, gdyby nie wypływała z chrześcijańskich uczuć... wstyd mnie podnieść oczy;... i ja, nie wahałem się chcieć poprowadzić was na rusztowanie!... O Boże, jakież zaślepienie, jak wielka złość moja była.

— Mój Tytusie, gdyby w każdym sercu zemsta znalazła mieszkanie, gdzieżby przytułek miała wspaniałość, ludziom tylko właściwą być powinna; czyliż u zwierząt? — nie hańbać nam, że u wielu z tych bezrozumnych istot więcej jej znajdziemy, aniżeli

u tych, którzy za najbliższych Boga poczytują się.

— Dobry Szczepanie, ty przemawiaj za mnie do starosty, bo uczucia jakie się cisną w piersi moje, odbierają mowę, myśli. Nie pojmuję się, wyciągnięcie i podanie prawdziwej ludzkości dłoni, przetwarza całą moją istność; teraz wierzyć zaczynam w Boga, znajdować roskosz w cnotach. O! obróćcie mnie w służebnika nędznego stan, obciążcie trudami ciężkiej pracy, rzućcie na pożywienie kęs czarnego chleba,—ale bądźcie zawsze takimi jak jesteście dzisiaj. — Szczepanie, z kolebką razem wyrzucił mnie świat na burzliwe morze, i za to ołaczał mnie pogardą, odpychał, że m nie wiedział jakie mi miano niebo nadało. Gdym przychodził prosić o robotę, mówiono, że m dzieciak, słaby,—bo nędza i wcześnie zrozumiane nie-

sześćście, wyryły w całej postawie chorowite piętno; a kiedy od wieśniaczych progów do dworskich podwoi zbliżając się, o służbę, jak o zbawienie upraszałem, znowu mnie pytano kto mię rodził. Świat zamiast litości dla niebacznych rodziców, a wsparcia i opieki dla biednej sieroty, darzy tylko hańbą, obmową, niesławą!! i mniema, że tylko ten może mieć czucie, komu dostatki osłaniają piersi od siły ucisku.— Sierota, żebrak, pogardzony, nie raz słaczałem z psem walkę o kość, nie raz krzyk wrony zwałbiał mnie do obmierzłego bankietu, a cóż miałem robić?—Wolałem przecież częstkami padłego zwierzęcia zaspakajać głód, aniżeli prosić, nie zyskać; i znowu łzami oblany, wracać do polnej krwawej potrawy. Wychowaniec surowej natury, potrzeby życia wyższemi uznawałem nad wszystko; —

zawczasu nauczyłem się nienawidzić ludzi, za prześladowanie prześladowaniem odpłacać, za pogardę śmiercią grozić, lub ciosami jej dotykać; — a nigdy nic więcej nad żywność nie zabierałem; pieniądz, uważałem za cząstkę czarłowskiej mocy, który same tylko nieszczęścia na świat z chwilą pojawienia się swego sprowadził. Śmiać się zapewne będziesz ze mnie, wiem o tem, lecz jak wówczas myślałem, otwarcie teraz mówię, i zapewniam cię, że dopiero z Darwerdem pierwszy raz sięgnąłem ręką p o złoto. — On dał mi poznać przyjemność życia, o których najmniejszego nie miałem wyobrażenia, i zdawało mi się, że on był sprawcą odrodzenia mego, będąc pierwszym z ludzi, który mnie bratem nazywał. Za to drogie imię byłbym oddał mu życie; wyście mi go wydarli — otóż

przyczyna zemsty; — ale teraz, wy  
mnie także wracacie słodką tę nazwę,  
i ja dla was bratem, bratem do śmier-  
ci..... co chcecie to uczynię, a jeżeli  
mam odebrać sobie życie, o to go-  
łów .....

Tytus skoczył do stawu, Szczepan  
nie mógł przeszkodzić temu, lecz Ru-  
dolf nadbiegł; nasz trocki nieustra-  
szony rybak, rzuca się w wodne nur-  
ty, zanurza się w głębinie, chwyla sa-  
mobójcę, wypływa na szklistą wód  
powierzchnię, i składa kosztowny  
sвій ciężar na brzegu.

Starosta, Bartłomiej i inni służący,  
ubiegali się w niesieniu Tytusowi po-  
mocy, a gdy ten wrócił do przyto-  
mności, pierwsze słowa jego były:

— Pojmuję słowa kaznodziei, w  
tym domu Chrystus mieszka.

Przeniesiony do pokojów, zaledwie  
odzyskał siły, wstał z łóżka, udał się

do małej Bogarodzicy kapliczki, a powróciwszy, w krótkich i szczerych słowach złożył dziękczynienie za okazaną życzliwość.

Rudolf zwrócił mu medal srebrny, który w czasie ratunku zdjęto z szyi Tytusa.

— To ma być jedyna skazówka mego urodzenia; kobieta, która po powiciu pogrzebała matkę, a mnie do lat dziesięciu wieku, a swojej śmierci, z miłosierdzia utrzymywała, ręką zmartwiałą zwróciła mi tę pamiątkę. Odtąd nie rozstałem się z nią, nie zapomniałem nazwiska Zabohoskiego.

— Zabohoskiego?

— Cóż znaczy to zadziwienie? ... niezapomniałem nazwiska Zabohoskiego, ale wołałem nosić przybranęj, dobroczynnej matki Cieślacichy.

— Biedny! — cicho szepnął Wilczyński, — jeżeli mogę zastąpić ci oj-

ca, nazwę się raz jeszcze na świecie szczęśliwym.

— Ty panie, chcesz mi zastąpić ojca, swego wroga nazywać synem?

— Przecież znasz modlitwę pańską.

— Znałem ją w słowach, teraz widzę w czynach.

Tytus rzucił się do nóg starego, a ten go podniósł i uroczystym głosem miano *syna* wymówił.

— List od pana Zabohoskiego, — rzekła wchodząca służąca.

— Co słyszę! — wykrzyknął Tytus, — list od Zabohoskiego? Starosto, czy to prawda?

— Musi być prawdą, bo w moim domu drzwi przed kłamstwem zamknięte.

— Może to mój ojciec?

— Może, ... daj mi medal... sprawdzę.

Tytus zdjął medal z szyi i oddał starości.

— Gdzie on jest, ...pójdę do niego, chociaż opuścił moją małkę, dozwoli zapewne ucałować swoje ręce.

— Wstrzymaj się, Wilczyński cię nie zawiedzie... a mógłbyś ojca na zawsze stracić; Rudolfie, tobie polecam naszego gościa. Zechciejcie mnie zostawić.

Starosta pozostał sam w obszernym pokoju, w ręku trzymał list, nie śmiał złamać pieczęci.

— Drzę, to pismo nie pomyślnego zwiastować nie może... ha... Wszelmoocny, dodaj sił do wychylenia kielicha goryczy.

Potem, jakby zbierając wszystkie siły, złamał czerwoną pieczęć, przeczytał, zgniótł pismo, zacisnął usta, i jedno tylko słowo *okropnie*, wymówiwszy, rzucił się na krzesło, założył ręce na głowę i w tém położeniu przetrwał całą godzinę.

— ..... Rudolf,...biedny Rudolf...  
wyrodna córka;...ależ Edward, co za  
bezczelność, jakiż stopień podłości!  
Piśmiennie hańbić kobietę, która, jak  
sam przyznaje, szalenie go kochała, i  
dla czego? dla tego, że się obawia  
starcia z moim bratem...Buczys, to  
Anioł stróż, a czyscem jego życie!

Starosta otworzył okno i zawołał  
Szczepana, stary sługa natychmiast  
się stawił.

— Szczepanie, tyś mi wierny?

— Czyliż możesz kochany panie  
wątpić o tém.

— Nic nie masz dla mnie skrytego.

— Nic?

— Opowiedz wypadki zeszłej no-  
cy;...mieszasz się, chcesz mnie o-  
szczędzać, już wiem o wszystkim,  
zaczny pan kochanek, w tém o to piśmie  
rzecz całą opowiedział.

— On?

— Tak, czyliż się można zadziwiać?

— Starosto, lubo twoje usta to wyrzekły...nie mogą przypuszczać.

— Zaiste, trudne do uwierzenia, a jednakże prawda,...opowiedz, chcę bowiem porównać okoliczności.

— Pański brat wie lepiej o wszystkim, ja przybiegłem na krzyk.

— Więc był hałas? niestety!

— Nikt oprócz nas i karczmarza nie wie o tym wypadku, nasze usta nie otworzą się nawet na męczarnie tortury, karczmarz w kaplicy;—i tu Szczepan opowiedział o działaniach wspólnie z Buczysem dokonanych.

— Domyślałem się przyczyny tej choroby, ale nie nniemałem, aby rzeczy tak daleko zaszły.

— Mogę upewnić starostę słowami jego brata, że żona Rudolfa nie zbłądziła.

— Wierzę, każ zaprządz konie, ... pojedziemy.

— Dokąd panie?— stary Szczepan miał pewne przywileje. Zapytania jego nie chciejcie przeto uważać za zuchwale.

— Do Zabohoskich, lecz tam o wszystkiem co zaszło, zupełne zachowamy milczenie.

— Uważam.

— Będę tylko z ojcem Edwarda mówić o Tytusie, być może, że on jest synem jego.

— Niezawodnie; klóždy mógł opuścić kobietę, jeżeli nie ten stary sknera; ... idę.

— Idź.

• • • • •  
Nad wieczorem starosta wyjechał z Szczepanem. Rudolf siedział przy żonie, Tytus wyszedł na przechadzkę. Potrzebował samotności.

Edward właśnie znajdował się na podwórzu, nie myśląc bynajmniej o nocném z Buczysem widzeniu się, kiedy przyjechał Wilczyński; pewnym będąc, że starosta przybył w zamiarze załatwienia zaszłych zdarzeń, i ciekawym będąc rozmowy ostatniego z jego ojcem, pośpieszył do dworu, wszedł do pobocznego pokoju, w którym się szlachcic z Wilczyńskim zamknął, wlażł na piec, i przez otwór jakiego nad tymże był urządzonego, w całości słyszał rozprawy.

— Kochany sąsiedzie, — odezwał się starosta, — przybyłem do ciebie w bardzo ważnym interesie.

— Słucham, słucham, panie bracie, słucham.

— Czy nas nikt tu nie usłyszy.

— Nikt, o! nikt.

— Rozumiem, — myślał Edward przyczajając się na piecu, — chwala

Bogu, pogrożki moje skutkowały, wywinę się z tego brzydkiego spotkania z tym djabłem Buczysem.

— A więc w imię Boże.

— Amen,— odrzekł szlachcie.

— Mój panie bracie, bywaliśmy to podobno obadwa na wojaczkach, sejmikach... *verbum nobile*, prawdę mówić będziemy.

— Verbum nobile.

— Znałeś wasze, panie bracie, nieszczankę w Wilnie.

— O! nie jedną.

— Wychowanie Cieślacichy?

— O!

— Kochałeś ją, obiecywałeś się żenić, tak?

Zabohoski wahał się.

— Dalesć słowo, panie bracie.

— Tak!

— Uwiodłeś ją, opuścilesć.

— Tak.

— Nie widziałeś nawet syna.

— Ona miała syna? a ja byłem pewny, że córkę mieć będzie, i dla tego porzuciłem ją.

(Czy ojciec był mędrszym od syna, od Edzia?)

— Miała syna...i...umarła.

— Umarła,— zawołał smutnie szlachcic, — i ja przyczyną tego, ... o! skarał mnie Bóg, dał żonę, to prawdziwy kowalski młot, i dał mi drugiego syna, prawdziwy szubienicznik.

— Czekaj ty stary! dam ci, powiem matce, — pomyślał Edward.

— I twój syn był na łonie wyrobnicy, a kiedy i ta umarła, błakał się po świecie w biedzie, w nędzy, bez odzieży, zgłodniały, na skwar słońca, na ostre mrozy, burze, niepogody, wystawiony.

— Biedny!

— Nie miał co jeść, a jednak nie sprzedał tego srebrnego medalu, który dałeś jego matce.

— Tak, ona miała odemnie medal... ach! jakże się cieszę, że przynajmniej syna a nie córkę miała, i gdzież on jest?... a gdzie medal?

— Oboje przy mnie. Trzeba jednakże, panie sąsiedzie, po szlachecku postąpić, uprawnić go, przyznać za swego, obdarzyć nazwiskiem.

— O wszystko to zrobię, ... nawet podzielę ich majątkiem.

— Osiół stary, podzielisz ty majątkiem, — mruknął Edward, zlaźł z pieca i poszedł na skargę do matuli.

Mama doradziła odebrać od Wilczyńskiego medal.

— Niezém nieudowodnią twierdzeń swoich, rozumiesz Edwardzie.

— Rozumiem, ale jak to zrobić.

— Wieczor, starosta odjedzie w noc...nieuzbrojony, postraszą ich bronią, oddadzą medal.

— Jakże, ich dwóch ja jeden.

— Ale oni broni nie mają.

— Ale ich dwóch.

— No, to będziesz z głodu mrzyć, będziesz miał brata z *mieszczanki*. (!)

— Żeby to pomocnik był.

— Któż z tobą pójdzie, ja?...możebyś chciał matkę starą narażać na nocną włóczęgę, której nigdy nie doświadczała.

— Ależ ich dwóch.

— Tyś chyba nie szlachcie — gdzie u ciebie głowa; biegaj naprzód, popsuć most na rzece, ten co jest przy kaplicy.

— Ale tam może być Buczys.

— Mówiłeś, że dopiero o północy.

— Prawda, lecz może przyjść wcześniej.

— Tchórz jesteś, gdzież u ciebie szlachecka odwaga; powiadam ci, idź, zrzuć kilka bali, albo nawet więcej, starosta prędko, nieuważnie zwykł jeździć, konie pociągną za sobą bryczkę, skompia się; a kiedy z wody wybrnie, przyskocz, postraszyć bronią, medal odbierzesz; uczyni tak, inaczej będziesz nieszczęśliwy.

Edward zawiesił strzelbę przez plecy, wziął siekierę i poszedł wykonać radę matki.

Przysłuchajmy się dalszej rozmowie Wilczyńskiego z starym Zabohoskim.

— Dobrze, nawet wypada tak uczynić.

— Ale, ale, panie sąsiedzie; a może to kto inny nie syn doręczył ci medal?

Starosta opowiedział zaszle w domu jego wypadki i przekonał Zabohoskiego, że jest ojcem Tytusa.

— Wszystko to dobrze, ale moja żona?

— Ja, panie bracie, twojej żony nie znam, chcesz być ojcem, bądź, nie chcesz, ja go za syna przyjmę.

— O! wiesz co, to bardzo mądrze, mnieby tu żona kark skrzyła; to dobrze, to dobrze, boby to dla mnie trochę i nie pięknie było, jakośby szemrano i Edwardowi uszczupliłaby się fortuna;...tak, namyśliłem się, przyznaj go za syna.

— Ale przynajmniej daj się mu poznać, on tak pragnie ucałować twoje ręce, jego nikt nie nazwał synem; matka przy narodzeniu umarła, ojciec wyparł się.

— O! ja się jego nie wypieram wcale; musi to nawet przystojny być chłopiec, bo i jego matka cudnej piękności była dziewczyna. Nie wypieram się go bynajmniej, ale widzisz

żona, żona panie sąsiedzie, to z tego byłyby swary, kłótnie, obraza Bozka; o to widzisz, najlepiej przyznaj go za swego syna, a ja ci panie sąsiedzie trzy kopy groszy rocznie płacić będę.

— Dziękuję, zapłaciłbym tobie, panie bracie, szlachcicem tylko zrodzony, sto kóp, gdybyś od serca nie odtrącał sieroty.

— Ach! jakże jesteś czułym starosto, istotnie chciałbym, życzyłbym, to jest mam pragnienie zobaczyć go, zaraz, natychmiast,...ale żona.

— Jedź ze mną.

— Dobrze, o! to dobrze, bo moje konie *strasznie* zmachane, zobaczę mego syna, ach jakżem kontent, ale starosto, odeszlesz mnie z powrotem?

— Odeszlę.

— To tak, panie sąsiedzie, ściągniemy wyjazd do nocy; żona spać,

a ja cichaczem na bryczkę i dalej,... to dobrze, to dobrze; może wódeczki, mam tu doskonałą; żona moja przysposobiła na kolendę, ale co tam, zabrałem ją, a nałalem prościuchy... przecież do Nowego roku jeszcze kilka miesięcy, to i tamta smaku nabierze.

— Niezawodnie.

— Doskonała wódeczka, pij staro-  
sło.

— Dziękuję, przysposabiajcie się  
lepiej do wyjazdu.

\*

Godna mamunia pana Edwarda, z nieodłączną półgarncówką, wlaźła w łóżko, konie starosty przeszły most Zabohoskich zagrody, a stary w kilka minut później, cichaczem, po podścianą się przemknął, przelazł przez wał i złączył się z Wilczyńskim.

Bieguny dobre, Szczepan gwizdnał tylko, a galopem ruszyły; bryczka

lekka, ciężar nie wielki. Zabołoski wysuszony postami i żoneczki językiem; starosta frudami wojen, i moralnemi cierpieniami, a Szczepan, nigdy nie był opasem, i gniewałby się bardzo, gdyby kto bądź, chociaż żartem, do pasibrzuchów go zaliczył. Zwykle mawiał na ludzi, zajętych tylko żołądkiem: „zwierzęta,“ i nikt go od wyrażenia tego oduczyć nie mógł.

Ominęli kaplicę, konie parskwały, toczyły pianę i podwajały biegu.

Most o kilka kroków.

Edward z za drzewa baczny wzrokiem przypatruje się nadjeżdżającemu, lecz tak ciemno, że nic rozpoznać nie może.

Konie wyciągają nogi i nagle wpadają w otwarty most, pociągając za sobą bryczkę.

— Starosto! ratuj mnie, ratuj.

Edward zadrżał, poskoczył ku mostowi, wysoko wzniesionemu nad wodą, i nie ujrzał na nim śladu koni i bryczki.

— Pomocy, pomocy!—jeszcze odezwał się tenże sam głos. Edward zbiegł z wzgórza, na którym most się opierał, zdawało mu się, że wzywający pomocy jest mu znanym; ale nie zważał na to, chęć odebrania medalu, była większą nad srom zbrodni.

Z siekierą w ręku oczekiwał na walczących z nurtami,—jeden dopływa brzegu.

— Oddaj mi medal.

— Ja nie mam, ...u starosty.

— To Szczepan,—pomyślał Edward i silnym razem siekiery, zanurzył ratującego się powtórnie w wodę.

— Boże! Edward mnie zabił.

Starosta z Szczepanem byli szczęśliwsiymi, puścili się z wodą i niżej

cokolwiek dostali się do ładu. Usłyszawszy okropny ten wykrzyk, pośpieszyli w miejsce z kąd pochodził. Edward stał bezwładny, siekiera leżała u nóg jego.

— Medal, ... medal, ... medal, — powtarzał bełkocząc niezrozumiale.

W tej chwili, nieznajomy blakający się samotnie po polu, zwabiony dolatującymi do uszu jego prośbami o ratunek, nadbiegł także na miejsce dokonanej zbrodni, a na drugiej stronie zjawił się Buczys z Kirlikiem i Czywasem, z płekiem rozpalonej łuczywy. Czerwonawy blask ognia, dodawał tylko bardziej ponurego kolorytu, temu okropnemu obrazowi.

— Starosto! — zawołał przybiegły Tytus, — tyżeś to wołał ratunku?

— Nie, twój konający ojciec, Tytusie.

— I gdzież on jest?

— Zabił go siekierą prawy syn, ...  
Edward.

— Wielki Boże! mój brat zabójcą  
mego ojca! to nad siły, nad .....

Tytus padł omdlały.

— Witam cię, panie Edwardzie, —  
zawołał przechodząc po belkach mo-  
stowych Buczys, — nie będziesz się ze  
mną pojedynkować; jakże ci drogie  
być musi życie i jego przyjemności,  
kiedy aż ojcobójcą zostałeś.

— Ojcobójcą, ja, ojcobójcą; .... o!...  
panie, czy to prawda?

— Niestety! tak jest, oto Szczepan  
zwłoki twego ojca z wody wydobywa.

— O! matko! ... matko ... ja ojca  
zabiłem, ... twoja szatańska rada, wtrą-  
ca mnie do piekła.

Kirlik związał Edwarda, Buczys ka-  
zał pierwszemu udać się do domu sta-  
rosty po inną bryczkę i natychmiast  
powrócić do kaplicy, do której znie

siono zwłoki Zaboloskiego. Obadwaj synowie jego, Wilczyński, Szczepan, Buczys i Czywas, schronili się także do zniszczonej świątyni.

Północ, jakaś postać stanęła w drzwiach kaplicy. Czarny płaszcz okrywa barki, z pod którego faldują się białe szaty.

— Tyłu, i skrwawiony człowiek,... a Ludwik żyje i Edward żyje? ... cóż to jest,... i starosta tu, miałżeby Rudolf być zabitym?

— Uspokój się, Elżbieto, wypadek; Edward chciał zabić starostę, zamordował ojca.

— I Elżbieta tu, — przerwał mowę Buczysa starosta.

— Od bitwy Giwokorskiej znajduje się w domu dwóch Tatarek,... moich i twoich Karolu, siostrzenie, — rzekł Ludwik.

— A jakie one dobre, jak Ayesza, co mówię Agnieszka, kocha Rudolfa, nie tak, nie tak jak Edward Karolinę; nie, ... ona anioł, ale ten anioł od nas uleciał, ... już zapewne wstąpiła do zakonu.

— Wstąpiła, — z westchnieniem powtórzył przybyły z Kirlikiem Czekański, — niech się stanie wola Boska! ... Ojcie, Bartłomiej czeka.

Starosta zabrał z sobą Elżbietę i Tytusa, Rudolf z Buczysem i jego współtowarzyszami, puścili się z związanym Edwardem drogą do Trok.



## VIII.

W Y K O N A N I E.

**Z**brodzień osadzony został w miejskim ostrogu, bez nadziei, ażeby go Tatarzy odbić, lub Kirlik ocalić chcieli; oczekiwał on swego losu z dziecinną bojaźnią. Płakał, rozpaczał, targał włosy z głowy, i pokarmu wzbraniał się przyjmować.

— Taką to przyszłość, którą mi Karolina obiecywała!? o! Boże, jakże to okropnie musi być umierać; oni powiadają, że lepiej umrzeć aniżeli

stąpić nogą na ruszłowanie, a ja wolalbym całe życie na nim pędzić, byle nie umierać! Ale mnie życia nie darują, nie, oni nie mają litości, oni będą wołać, żem ojca zabił, tak jakbym to uczynił z namysłu, ... o mój Boże, mój Boże!!

Dozorca więzienny otworzył drzwi, zajrzał, potem zamknął je i dalej do innych więźni się udał.

— Może da się ująć, o! oddałbym wszystko, gdybym mógł dać wiedzieć Karolinie o mojem położeniu, ona jedna pośpieszyłaby mi na pomoc, o tém wiem, ale nieszczęsny list, pocóż ja pisałem; — ostatnia nadzieja stracona; starosta nie umie być po-  
błażającym, cóż my winni żeśmy się kochali!! Moja matka, czy zechce zająć się moim oplakany'm losem, nie wiem, czy cały nasz majątek wystarczyłby na moje wyzwolenie, a wątpię,

czy zechce poświęcić resztki synowi: tak, wątpliwość moja zamienia się prawie w pewność; w ostatnich dniach odmówiła dwa razy prośbom moim, a teraz uczyniż im zadość, gdy się dowie, że własnego zamordował ojca?... jej rady zgubiły mnie.

Zamknięty w ciasnej celi, kajdanami obciążony, oddawał się ciągle smutnym myślom, a okropna kara jakiej się spodziewał, pozbawiała go rozumu, i wtrąciła w pewien stan otętwienia, w którym zasnął.

\*

Starosta powróciwszy do domu, odwiedził chorą Karolinę. — Z bezwładności przeszła w silną gorączkę. Elżbieta postanowiła przepędzić przy niej resztę nocy.

— Ja go kocham ... kocham ... ale nie zbłądziła ... to dziecię Rudolfa, przysięgam wam ... a w bud-

ce?...nie... Szczepan...Szczepanie,  
nie powiadaj...zmiłuj się...nie po-  
wiadaj...ja nie chcę nigdy już jego  
widzieć...będę najlepszą żoną...naj-  
lepszą... aż do śmierci...bo przecież  
nie długo umrę,...bez Edwarda nie  
mogę żyć.. ciotka Elżbieta,... gdzie  
ona... nie mam mojej opiekunki...  
ale ona źle radziła...ja chciałam...  
prosiłam, tak, Boga,... o, tu źle...ja  
nie wiem co będzie... Rudolf... mój  
ojciec... będą wiedzieli,... wypędzą  
mnie... to smutno żyć w polu... je-  
dnej... ale do Edwarda nie pójdę...  
on chciał mojej hańby... nie, na hań-  
bę zgodzić się nie mogę...żona, to co  
innego...ja...

— Karolino!

— Mówił ktoś... ja ,niewinna...  
niewinna, dziecię, to Rudolfa... Ru-  
dolfa,... przysięgam Bogu... miejcie

dłaniego litość ... ja je będę kochać ...  
biedne dziecko ... zapomniałam o niem.

— Karolino.

— To mój mąż, Edwardzie, uciekajmy ... straszna mara, ... cierpienie nad moe ... czarno, ... czego chcecie odemnie? ... zostawcie mi dziecko .... nie chcę Rudolfa ... pogardzam tobą Edwardzie ... precz ... precz ... pomocy!

— Nieszczęśliwa, — rzekła do siebie Elżbieta, — dla niej nie ma już szczęścia. Karolino!

— Kto mnie woła? Edward?.. dobrze, słucham cię kochanku ... idę... idę.

Karolina zerwała się z łóżka, lecz nie mając dosyć sił do utrzymania się na nogach, upadła nań znowu.

\*

Jak wiemy, Szczepan, Elżbieta, Buczys i starosta, (przez list Edwarda)

wiedzieli o przyczynie, z jakiej nastąpiła choroba Karoliny. Wiedziały wprowadzić trzy jeszcze osoby, to jest Zabohoska, karczmarz i kustosz bernardynów; ale Rudolf nawet najmniejszego w podobnym rodzaju nie miał podejrzenia. Nie dla tego jednakże tajono przed nim prawdę, aby chciano go oszukiwać, lecz owszem życzonno sobie oszczędzać człowieka, którego pocziwne życie, w towarzystwie samą tylko gorycz miało.

Po odprowadzeniu Edwarda do Trok, Rudolf wynajął furmankę i odjechał. Buczys zaś, nie do domu, jak przed Czekanowskim oświadczał, lecz do kaplicy powrócił. Nie zapomniał on bynajmniej o karczmarzu, którego w grobie uwięził, ale nie mógł także wymyślić środka, jakiego użyć mu wypadło, aby natychmiast zniewolić ostatniego do opuszczenia na zawsze oko-

lic i dochowania najściślejszego sekretu. Czuł dobrze, że rzeczy nie mogły pozostać na stopie, na jakiej się znajdowały; rozłączenie Rudolfa z Karoliną uważał za konieczne, a postanowienie jego było nieodwołalne i dokonać je za jakąbądź cenę zamierzył.

Dzień już był zupełny kiedy wszedł Buczys z Kirlikiem i Czywasem do kaplicy, odwalili kamień i spuścili się do grobów.

Karczmarz dostał febrycznych dreszczy z zimna i strachu.

— Dobrzeby go powiesić, — z cicha i nieśmiało przemówił Kirlik, — to żyd.

— Kirlik, zaliż to nie człowiek, nie bliźni?... zbłądził, to prawda, ale pamiętaj na sinajskie przykazanie: *nie zabijaj*.

— Zawsze masz za sobą prawo.

— I jeszcze dobre.

— Bo Boskie.

— Słuchaj arendarzu, wieś starosty już jest moją własnością.

— Aj!

— Otrzymasz sto czerwonych złotych, ale musisz dzisiaj jeszcze wyprowadzić się, i milczyć do śmierci o wszystkiem, do czego byleś używanym;... zgadzasz się?

— A ogród... tyle pięknych owoców.

— Zyskujesz sto dukatów nie pracując, masz milczeć i ustąpić.

— Gdzie ja pójdę?

— Może chcesz na gałąź, — z gniewem zawołał Kirlik.

— Nu, co ten pan pełnipotent gada... gałęź, gałęź... niby to co przyjemnego.

— Kirlik, pozwól mnie mówić,... arendarzu, twój opór najgorsze skutki mieć może, ...zgadzasz się na moje żądanie?

— Jasny panie.

— Bóg tylko jasny; ja jestem człowiek, pochlebstw nie potrzebuję i nie przyjmuję; krótko, jedném słowem, zgadzasz się lub nie?

— Cóż mam robić.

— Więc idź, wieczorem będę w karczmie, dam ci umówioną kwotę i będę świadkiem twego odjazdu, lecz jeszcze raz powtarzam, słowo jedno... jedno słowo... a znasz ty ołów?

— Nie powiem nic, nikomu,—i karczmarz zaklął się uroczyście.

— Dobrze, jesteś wolny, przed tobą cały dzień, wieczorem porachujemy się.

Karczmarz nie oglądając się, wyszedł z kaplicy; Buczys rydlem w kącie stojącym odkopał szkatułkę, wyjął z niej potrzebną ilość pieniędzy, zamknął, ziemią znowu przydeptał, i rzekł:

— Jeżeli wam będzie kiedy potrzeba, weźmiecie; spodziewam się, że zbytkom nigdy holdować nie będziecie.

— Jesteśmy bracia, mamy spokojną chatę, sieć i ogród; nad to, nic więcej nam nie potrzeba,...tylko, Buczys, ty jesteś za dobry,...nie puściłbym karczmarza na sucho.

— Bo nie miałeś czasu dzisiejszego ranku Chrystusowej modlitwy powtórzyć.

— Prawda,... ty jesteś ojcem, bratem i aniołem moim.

Chata trzech przyjaciół stała prawie nad brzegiem trockiego jeziora, od którego gęsty tatarak ją zasłaniał; pomiędzy tą rośliną skryta była krypa, a na wiosłach w ziemię na krzyż utkniętych, wisały rozciągnięte sieci. Z trzech innych stron otaczał to domostwo ogród owocowy, młodemi la-

toroślami zasadzony. Kilkanaście pszczolich domków ustawionych było rzędem, a przed niemi, przez wounemi kwiatami uslaną murawę, rznął się mały źródlanej wody strumień, poruszając drobne na pobrzeżu leżące kamyki, i ściągający je w łóżysko swoje. Za ogrodem, ciemny, gęsty, nieprzystępny, na bagnisku wzrosły; rozciągał się las, jedna tylko ścieżka wązka, małoznacząca, ułatwiała przejście do dworu Zabohoskich, a ztąd do kaplicy i dalszych okolic.

Wnętrze domu, nieozdobne; wzorowa jednak czystość i porządek uderzają przychodnia. Cztery izby nie obszerne. W pierwszej narzędzia gospodarskie i ogrodnicze, w drugiej dwie ławy, stół dębowy, szafa w kącie zbudowana; o to wszystkie sprzęty, — w trzeciej trzy proste łóżka, a nad niemi trzy strzelby, tyleż palaszy

i par pistoletów, wielka skrzynia z bielizną i odzieżą.

A w czwartej co? — pójďte, zobaczcie, — ołtarz, na nim ukrzyżowany zbawca, sześć świec, biblja i ewangelja, a po obu bokach półki zastawione książkami. Idźcie jeszcze za domek, a pod dachem szopy znajdziecie parę koni i bryczkę, kupione od Jana.

Buczys miał wiele trudności w doprowadzeniu ich w to miejsce, ścieżkę bowiem przez las idącą, zaledwie konie pojedynczo przejść mogły, bryczkę zaś przewieziono krypą. Rola była odegrana, i dla tego nasi pustelnicy, tak konie jak i bryczkę sprzedać postanowili. W tem to ustroniu przepędzili dzień cały, który tyle poprzedziło wypadków. Wieczorem Buczys z Czywasem udali się do karczmarza, który z wypakowanemi na

furach ruchomościami, oczekiwał na ich przybycie. Po wyliczeniu pieniędzy, ruszyła kalwakada, a Buczys powrócił do swej spokojnej chaty.

Dziesięć dni upłynęło. Na smętarzu przy kaplicy, stawiano dwa czarne krzyże, — w jednej mogile spoczywał zamordowany mąż; — w drugiej jego żona.

Zabohoska, suchotnica, każdego wieczoru nadmiernie zażywająca trunku, z wszelkiem usposobieniem do śmierci, wiadomość o skonie męża i uwięzieniu syna, przyjęła najobojętniej, uważano tylko, że dzień cały jeden i drugi nie nie piła, trzeciego położyła się wcześniej niż zwykle, napiła się rumianku z miodem, zasnęła... zrana już nie żyła.

Nie ci tylko cierpią, co głosem utyskują, lub płaczą!!

Edwardowi znany był już wyrok; lzy nie osychały, pobrzękły oczy i policzki. Kustosz bernardynów codziennie go odwiedzał, wzmacniając ducha siłą mocodawczej religji. Ale napróżno; słowa pociechy nie miały przystępu do jego duszy, *życie* było dla niego wszystkiem, cały świat wydłubiłby dla ocalenia siebie, — szacowny egoista!

— Ojczy, — rzekł do kapłana, — wierz mi, nie obawiam się śmierci, ale chciałbym raz jeden na rodzicielskich być mogiłach, przebłagać ich cienie, a potem, potem nawet sam sobie życie skróciłbym.

— Do tego nie masz prawa.

— Ojczy, wyjednaj mi wolność odwiedzenia drogich dla mnie grobów, tę jedną łaskę; pójdziemy tam razem, dobrze?... nie odmawiaj ostateńniej prośbie skazanego.

proszę moją,

— Jutro wiesz, jutro  
czyli w godzinach są łudzkie.

— Jutro, synu, módl się tylko  
sami.

Kapłan wyszedł.

— O! jestem pewny, — mówił do siebie Edward, — że zdanie moje odzucenem zostanie. Księdza trzeba prosić, suknia jego może mi być użyteczną, aniżeli pozwolenie sądu. Jeszcze się mogę ocalić, ... o! bodaj tylko go skłonić, ... trzeba się przysposobić! ... Ocal mnie stwórco, o! już nigdy nie popełnię występku, będę pracować w pocie czoła — a chleb, będę dobrym, Boże mój, Boże, zmiłuj się nademną.

Edward znowu płakał. Rzucił się krzyżem, całą noc nie podniósł się z podłogi, a chociaż dozorca dwa ra-

żnienia, wi-  
szę się przed Bogiem,  
ił modłów jego.

ostatni dzień życia Edwarda  
zaświtał...czwartek. W piątek, przy  
największém zebraniu ludu, miał być  
powieszonym. W rynku stała szubie-  
nica, a mnóstwo dzieci otaczając ją,  
wolały: „to szlachcica powieszą,...  
zabiał swego ojca,... jabym mu serce  
wydarł,... ja ręce smołą oblał i zapa-  
lił,... ja na pał wbićbym radził,... le-  
pij kołem tłuc,... zarznąłbym go, rze-  
źniczy zawołał chłopak,... a ja spalił  
na stosie,“ mówił znowu inny.

Starosta, nękany cierpieniem, oko-  
ło południa, wówczas, kiedy Rudolf  
z Tytusem wyszli w pole, a Elżbieta  
znajdowała się w domowej świątnicy,  
po raz pierwszy, od czasu odzyskania  
przytomności Karoliny, zajął do

w wielkiem  
szcze osłabioną.

— Ojcie, — wołaym raz  
a zawsze starostę.

— Tak, *moja córko!* — zdus-  
zył przemówił Wilczyński.

— Moje siostry mnie nieodwiedzi.

— To dziecko odesłałem je do Wi-  
sły na pensję, bo nie chciałem powie-  
rać wychowania ciotki Elżbiety.

— Nawet nie możnaby, ciotka ma  
zamiar powrócić do klasztoru.

— Wiem, i dla tego a nie dla innej  
przyczyny, umieściłem ją u panien  
Wizylek, — dodał starosta, widząc, że  
czynienie wyrzutów, mogłoby córkę  
jego o utratę życia przyprawić.

— Mój ojcie, ja, mam, ... wiele  
mówić.

— O czém, *kochana córko?*

nuje; a mam  
mam się oszczędzać  
a.

ski zgrzytnął zębami, lecz  
myśli: a nie oszczędzałaś  
najwięcej w nocy!

Tak, tylko dla dziecięcia, bo Ru-  
dolf mnie nie kocha, prawda ojcze?

— Karolino, jesteś cierpiącą, po-  
łóż się w łóżko.

— Mój ojcze, ja jutro do Trok po-  
jadę, ... do kościoła.

— Jesteś słabą, dla dziecięcia win-  
naś, jak sama przed chwilą mówiłaś,  
oszczędzać się.

— Mój ojcze, drogi panie, pojedę; ...  
i Rudolf pojedzie, już tylko na niego  
będę patrzała.

— Nie wiem o tem, abyś od czasu  
zamałpójścia, na kogo innego spo-  
glądała.

bły...

Był... Ojciec jej...

Starosta surowo sp  
kę zastaniającą oczy.

— Nie rozumiem, miał  
zek z tak szlachetnym i zac  
dzieńcem, być dla ciebie cięż

— Ojcie, panie, matka twego  
cego się narodzić wauka, na kolan  
dłaga, zlituj się, zlituj, jam winna  
ale nie zastanowiłam ani twego, ani  
mojego męża imienia.

— Tyś chora, masz gorączkę Ka  
rolino!

— Nie panie, nie, ja jestem zdro  
wa, ciałem, ... duszą moja boleje; ...  
ojcie zlituj się, przebac, przydaj  
mnie przed śmiercią, ... na popioły  
matki zaklinam ciebie.

— Niech spoczywa w pokoju, nie  
naruszajmy jej wiecznego szczęścia.

— Ziem ci powiedział?  
— przez sen.  
— Nie nie nie mówiła, ja nie

— Ojcze, ja winna, ale nie  
inaj mnie, ... nie przeklniesz?

?!

— Niech będą błogosławieni sprawiedliwi.

— Ojcze, to jedno, co byś ... brzemie ... prze ... kłenstwa ... rzucił na ... moją głowę; ojciec!! — krzyknęła Karolina chwytając starostę za nogi, — przebac córce, ... nie dla mnie, dla jej dziecięcia, ... przebaczasz?

— Tak, jak chcę, abymnie Wszechmocny przebaczył.

— Wielbij duszo moja Pana i rozradował się duch mój w Bogu Zba-

la

podnosząc

— Ojcze,

ja chcę się wypowiadać  
zacząć żyć, ...znajdziecie  
ce, na którym mi dotąd z  
miłość nie ma nic wspólnego z  
tnością ciała, brudną, kalistą, szpe  
prowadzącą do hańby, zbrodni,  
wrót których stanęła twoja Karolina  
a Bóg ją wstrzymał, oświecił, bo nie  
chciał siwego włosa jej ojca piętnem  
wstydu nacechować.

— Dobrze, pojedziemy.

Starosta uczynił obietnicę, nie wie-  
dząc bynajmniej o mającym nastąpić  
w dniu piątkowym straceniu Edwarda.  
Nie przypuszczał nawet, żeby sprawa  
jego tak rychło ukończoną być mo-  
gła.

\*

— Kłoz w zambu  
— wszedł do więzienia.  
— prędko zapytał Edward.  
Nie można.

Ojcie, ty chrześcijanie, w to-  
bie być musi czyste serce, miej wzgląd  
na dawną zażyłość z moimi rodzica-  
mi, pozwól mi, ja chcę tylko za-  
plakać na ich grobach.

— Ach, moje dziecko, z chęcią uczynię  
ci wszystko, lecz sam widzisz, że ci pomóc nie mogę.

— Możesz, możesz, ojcze duchow-  
ny.

— A to sposobem?

— Twoje suknie.

— Ależ nasze twarze.

Amelia

ciebie ojciec,  
który w chwilach, gdy  
pomoc swoją nieść mi  
ze kustoszu, nie odmaw  
prośbie umierającego. Pro  
zaplakać, uściskać, okryć  
kami ziemię, która zwłoki ży  
wców pokryła.

Wzruszony kapłan rozpasał się  
zamierzył zdjąć habit, kiedy wszę  
dozorca a za nim służący z wieczerzą,  
która, ile że miała być ostatnią, wy  
stawnie sporządzoną była.

Przybycie dwóch świadków, któ  
rzy niewiadomo z jakiej przyczyny,  
nieoddalali się, pomieszało plany  
Edwarda, a kapłan, upomniany o pó  
źnym czasie, z boleścią opuścił nie  
szczęśliwego.

...zjednałem  
...kiedyś, kiedyś,  
...razem się złączyły dla  
...szekawskiego... ręką  
...niego prędzej czy później

...my narodu na rynku.

...ruszowaniu Edward, kraj i  
...ładz.

...już wyrok odczytany.

Od wjazdu Wileńskiego toczą się  
dwie bryczki, jedną Szczepan, drugą  
Barłomiej Kieraję; w pierwszej Karo-  
lina z ojcem, w ostatniej Rudolf z Ty-  
lusem.

— Wio, wio, z drogi.

— Co się tak naród skupia.

Zapyta

— Wieś

— Ojcobójce, — po  
lina, — jakaż haniebna  
za potwora musiała być;

— Szczepanie, jedźmy  
ulicami; zawróć na prawo.

— Dziękuję ci ojczy, tego  
pnego widoku znieśćbym nie n.

Szczepan obejrzał się, oczy j  
spotkały się z Wilczyńskiego, zroz  
miały.

Stary sługa skierował na prawo,  
w ciasną uliczkę.

Wkrótce potem dojechali do far-  
nego kościoła.

\*

Akt sakramentalny odbyły. Wyszli  
z katedry; już są w bryczkach, wo  
źnice wsiadają na kozły.

... był jeden

... na drugie twarde...  
... ale co nazwisko,  
... chciał był powie-  
... go pozerwego Rudolfa;... Za-

... zwróciła się ku ojcu, sta-  
... w bryczce, seisnęła konwulsyj-  
... eke starosty i... napowróć  
... — Oj-ze, i ja go kochać mo-  
... — potem złożyła głowę na  
... ramię Wileżyńskiego.

— Szczepanie! wstrzymaj się, po-  
... ratuj... umarła.

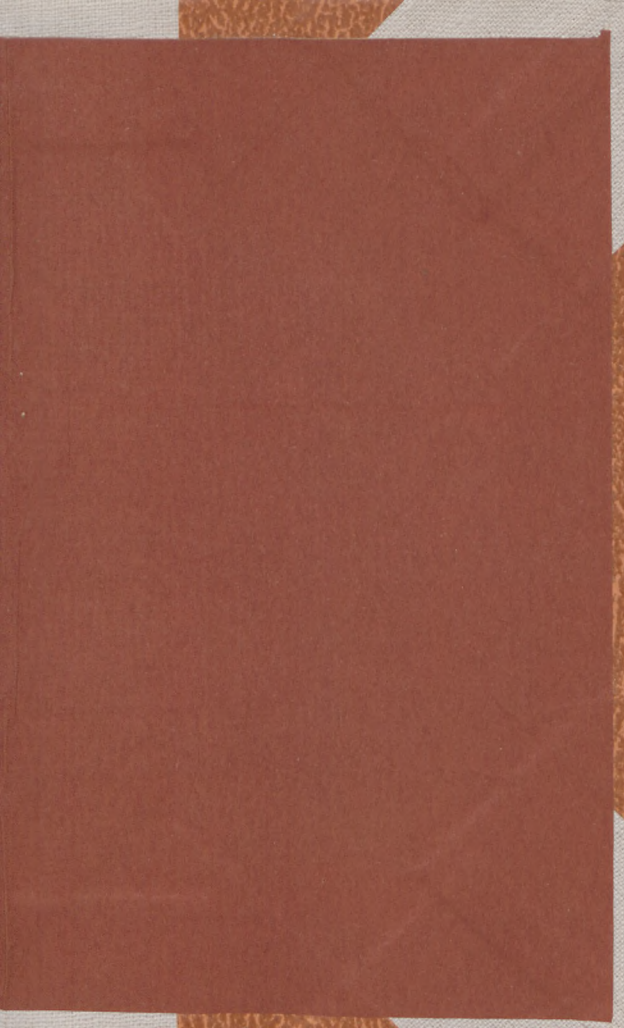
Nie ocalono nawet dziecięcia.

Pomiędzy grobami Sulejmana, Jo-  
... Klary i żony starosty; wzniósł  
... — Cor pięty, — Karoliny.









BIBLIOTEKA  
UNIwersytecka  
Gdańsk

I 319248